

NOWINA

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY

R. II

dnia 1.II 1927 r.

Nr. 2

WARSZAWA — POZNAŃ — KRAKÓW — WILNO — ŁÓDŹ

DO CZYTELNIKÓW „NOWINY“ I ORGANIZACJI PRACOWNIKÓW UMYSŁOWYCH.

Na zasadzie umowy z Wydawnictwem „Nowiny“ od niniejszego zeszytu przystępujemy do redagowania pisma, które poświęcone będzie sprawom pracowników umysłowych oraz sprawom kultury polskiej, literaturze i sztuce. Zmuszeni jesteśmy zaznaczyć, iż nie mogliśmy od razu przejść z dotychczasowego kierunku pisma o charakterze wybitnie literackim do tego, w jakim prowadzić je nadal będziemy. W części, poświęconej pracownikom umysłowym, poruszać będziemy zagadnienia socjalne, gospodarcze, kulturalne i organizacyjne, dotyczące pracowników umysłowych, informować będziemy o pracach Polskiej Konfederacji Pracowników Umysłowych. W części, poświęconej sprawom kulturalno-literackim, będziemy starali się utrzymać w możliwie szerokich rozmiarach dział

literacki i nadać mu określony kierunek, zamieszczać artykuły naukowe, podawać wiadomości z Techniki.

Powołaliśmy do współpracy najwybitniejszych przedstawicieli świata literatury, sztuki i nauki, tudzież działaczy na polu organizacji inteligencji pracującej, co daje nam pewność wykonania naszych zamierzeń.

Nie wątpimy, iż organizacje i czytelnicy pospieszą nam z pomocą i dołożą starań w celu jak najszerszego rozpowszechnienia „Nowiny“, tembardziej, że część dochodów, uzyskanych z pisma (ogłoszenia) zostanie, użyta na uruchomienie warsztatów pracy dla bezrobotnych pracowników umysłowych.

KOMITET REDAKCYJNY
Polskiej Konfederacji Pracowników Umysłowych.

KAZIMIERZ KOSIŃSKI:

STANISŁAW WITKIEWICZ.

Kiedy przed Witkiewiczem, nawet Chałubiński spoglądał na kulturę ludową Podhala z punktu widzenia etnograficznego, Witkiewicz przekonał się o jej wartości wyższej ogólnopolskiej i sięgnął do niej po nowe pierwiastki dla życia polskiego. Zdaniem Witkiewicza, na Podhalu przechowały się istotne cechy plemienne polskie: w mowie, w zdobnictwie i budownictwie. Naturalnie, że Witkiewicz nie był tu odosobniony, ale stanął na czele ruchu, który pogłębił i poniekąd stworzył. Teza Witkiewicza, dotycząca stylu zakopańskiego byłaby następująca: Tak zw.

style historyczne w czystej postaci należą do najrzadszych przejawów ludzkiej siły twórczej. Witkiewicz od czasów Gotyku widzi jeden tylko taki styl, t. j. Rococo, naginający wszystko do swojej własnej istoty. Pozatem wszystko jest tu komplikacją takich, czy innych pierwiastków oryginalnych w architekturze. Pierwiastki oryginalne polskie z dawnych wieków dochowały się w budownictwie ludowym na Podhalu, które to budownictwo jest zabytkiem starej drzewnej kultury polskiej. A zatem styl zakopański jest wskrzeszeniem dawnego ogólnopolskiego stylu, jest nawrotem do pier-

wiastków plemiennych polskich w budownictwie. Warunkiem każdego stylu jest, zdaniem Witkiewicza, jego zdolność rozrodcza, jego potencjalna siła rozwojowa przy możliwości ograniczenia się do pewnych tylko motywów twórczych. „Każdy styl, od Partenonu do chałupy Bartusiewicza Jaśka lub Kuby Kołodzieja, jest stylem z tych samych powodów: że ma swoje własne stosunki wymiarów, swój układ formy i swoje szczególne pierwiastki konstrukcyjne”¹⁾.

Byłoby niesprawiedliwością wszakże, gdybyśmy nie wspomnieli tutaj o pracy i zasłudze Władysława Matlakowskiego, który zebrał materiały do budownictwa i zdobnictwa ludowego na Podhalu. W pracach swoich położył on fundament wiedzy o tych rzeczach. Witkiewicz atoli był tym, który ten styl wy dobył, postawił go przed społeczeństwem i należycie rozwinął. Pracował tu Witkiewicz świadomie, aby dokonać odrodzenia sztuki polskiej w opromienieniu jej własną narodową ideą...

Witkiewicz był od początku patryotą irracjonalnym, t. j. zasadniczo przeciwnym polityce polskiej t. zw. realnej po r. 63, która w rezultacie przejawiała się w postaci t. zw. trójlojalizmu.

Bowiem widział w nim fatalne skutki rozbiorów, jako że naród rozdzielił się w sobie zależnie od trzech obcych organizmów państwowych: Austrii, Prus i Rosji.

Polityce ugodowej, myśli politycznej polskiej trójlojalnej, Witkiewicz przeciwstawił polską etykę bohaterstwa, ideę walki o niepodległość, wszelki zaś kompromis w tej mierze uważał za upodlenie i zanik polskiego sumienia...

Witkiewicz w poglądzie swoim na naród jest jednym z moralistów, stojących obok Andrzeja Frycza i Mickiewicza. Wartość narodu i siły państwa uzależniał on całkowicie od moralności zbiorowej ogółu.

Już w r. 1905 Witkiewicz myślał, że dokona się dzieło wyzwolenia w Rosji, co wpłynie i na Polskę, teraz przekonał się o konieczności wojny, która nadejść miała. W Legjonach skupił się w Witkiewiczu patryotyzm irracjonalny i to było ostatnie jego ukochanie przed śmiercią. 5 września 1915 r. Witkiewicz zmarł w Lowranie, 17 września pochowany został w Zakopanem.

Ważniejsze zagadnienia, poruszone przez Witkiewicza, znajdujemy w następujących jego pismach:

I tak: poglądy społeczne znalazły swój pełny wyraz we wstępie do drugiego wydania „Na przełęcz” p. t. „Po latach” i w redakcji

II „Życia, etyki i rewolucji”, poglądy polityczne w redakcji I „Życia, etyki i rewolucji”, w szkicu p. t. „Wallenrodyzm czy znikczemnienie”, w listach z czasu wojny do siostry, z których fragmenty zostały ogłoszone p. t. „Ostatnie słowa” i w listach do Józefa Piłsudskiego, poglądy religijno-moralne w dziele p. t. „Chrześcijaństwo i katechizm”, i w cuklu „Z Tatr”, w którym wyróżniamy trzy utwory: „Wojtek Gandara”, „Jędrzek Cajka”, i „Zośka Galicka”. Poza to wszakże niema pisma Witkiewicza, w którymby tych uczu i myśli nie było.

Witkiewicz nie wypisał się całkowicie i nie przejawiał się cały w swojej sztuce. Ale bo też Witkiewicz nie był twórcą, nie był pisarzem we właściwym tego słowa znaczeniu. Celem jego twórczości było życie: to chciał urobić, to pragnął zmienić, to przepromienić ideą i tutaj podał się cały wichrom zagadnień, które go niosły na szczyty. Witkiewicz był poetą życia, był jego myślicielem i największym arcydziełem był dla niego człowiek, zaś jako Polak pragnął, aby ten człowiek wyższy wcielił się i w jego ojczyźnie.

Kiedy Witkiewicz zmarł, nazwał go Orkan, we wspomnieniu pośmiertnym, Sokratesem polskim, że jako Sokrates, gwarząc, przepromieniał sobą życie naokół i krzątał się koło niego. Ale ten Sokrates polski umiał być gniewny, jak tamten przed wiekami, walcząca z tem, co było w jego narodzie nikczemne i plugawe. Sokrates uczył dzielności i bohaterstwa, wyzbycia się egoizmu, i domagał się naprawy dusz. Witkiewicz także, — nie wahał się nazwać „Bagnem” stosunków zakopiańskich w tem przeświadczeniu, że na trzęsawiskach bagna nic się nie zbuduje w narodzie. Sokratesa otruli swoi, Witkiewicza również pozwano przed sąd we Lwowie w r. 1903. Sokrates proces swój przegrał i zmarł, Witkiewicz płomienną mową w sądzie się obronił. Wtedy zebrała się młodzież na wiecu akademickim 18 czerwca 1903 r. i złożyła mu hołd, który był sokratejskim zwycięstwem Witkiewicza nad narodem własnym, że użyjemy słów Norwida.

Zakończmy słowami tego nieznanego dziś aktu hołdu:

„Zasłużonemu obywatelowi i wielkiemu artyście polskiemu, Stanisławowi Witkiewiczowi, zebrana na wiecu akademicka młodzież polska we Lwowie, składa niniejszem swój hołd za jego obywatelską pracę, wytrwałą walkę, podejmowaną zawsze i wszędzie, w imię postępu, prawdy i dobra publicznego, za to nieugięte strzeżenie czystości myśli, uczuć i narodowych haseł naszych, za to pięćcie się coraz wyżej bez trwogi i kompromisu”.

Tak, to był Witkiewicz.

¹⁾ St. Witkiewicz: Styl zakopiański. /eszyt I — pokój jadalny str. 2.

PALMY, BANANY I BAŻANTY

(Nowela, nagrodzona II nagr. na konkursie Koła Lit. S. U. W. w maju 1925 r.)

I.



Łucznicy krajów podzwrotnikowych. *)



Piękności ludów ko'orowych.

Frau Karolina Knothe posiada trzy córki i syna. Amelja — zamężna, Klotylda — dziewczica (bardzo subtelnie grywa „Traumeri“ na fortepianie), Brygida — studentka filozofji, syn Karol — technik portowy. Pozatem w mieszkaniu Karoliny Knothe jest łazienka, kanarek i biblioteka literatury wszechświatowej.

Naprzeciw domu, w którym mieszkają — drzwi; nad drzwiami szyld z wymalowaną butelką szampana i napisem „Unter Magellan und Laperuzo“. Tu kończy się wstęp do tej opowieści.

Wiosenne wieczory w tej dzielnicy są niezwykłe i piękne. Na szerokich skrzydłach albatrosów nadlatuje pachnący zmierzch i ostrożnie ląduje na wysokich dachach. Z portu

przez kanały ulic nadpływa wilgoć. Domy stają się tajemniczymi. Pachnie krabami, pachnie werbeną, pachnie — morzem. Czernieją ciężkie barki, zapadające w mrok, i mruć mroczniejące morze

Z balkonu frau Karoliny Knothe — strzelisty wylot w morze. Od nieruchomej wody — wzwyż, nad seledynową wodą — w dal: liljowa mglistość, wibrujący dymek „Caporal Navy Cut“ i zapach indigo i orzechów kokosowych. Pływają w dole tłuste plamy żółtych latarni, wysoko wypręża się niebo. Od iglicy *Groote Kerk* odpadają bryły szumów, to dudnią dzwony godzin, grzmia w milczeniu uliczek, a potem dostojnie odchodzą wysoko, drętwiejąc nad dymiącym *Konings Haven* i dalej.

Drzwi na balkon otwarte. Frau Amelja cierpi na ból zębów. *Fräulein* Brygida, stu-



Nawigacja na wodach, co niewidziały śniegu, ni lodu.



Z życia krajów tropikalnych.

*) Fotografie te zawdzięczamy podróżnikowi o światowej sławie — Ossendowskiemu.

dentka filozofji w Utrecht, usiłuje zrozumieć Svedenborga. Fräulein Klotylda gra po raz dwunasty od początku „Traumerei“. Jest pięknie.

— Otóż wyjdziemy na powietrze, — mówi do przyjaciela *Lotar Egon Raffeld*, — wyjdziemy na powietrze, przyjacielu! I wychodzą rozczeni i chwiejni przez drzwi, nad którymi szyld z butelką i „Unter Magellan und Laperuzo! Nad nimi — wążka wstążka pomarańczowego nieba. Powietrze pachnie spirytusem. Zadzierają głowy i dziwią się, niezwykłe wzruszeni: — z pierwszego pietra muzyka, śliczna muzyka. Właśnie to, co wypukują z klawiszów białe palce smutnej Klotyldy, dziewicy.

— Chodźmy na wybrzeże *Boompjes*, przyjacielu. Jest nader miły wieczór przyjacielu. Wezmę cię pod rękę, przyjacielu; uważaj: jaka piękna ta ulica, — tak mówi *Lotar Egon Raffeld*.

Idą na wybrzeże *Boompjes*. Nad nimi dookoła nich — szarzeje piętnasty wiek; przed nimi — coraz to głębsze rezonansy uciekających ulic, wysokich ciasnych kurytarzy. Mijają kolos, gotyckie cudo — *Groote Kerk*; w czarnej niszy *Groote Markt* czernieje wielki smukły fallos. „Uważaj — to pomnik naszego sławnego *Erazma*“ — mówi *Lotar Egon Raffeld* do przyjaciela, który i tak oddawna wie o tem. Ale jest wzruszony. Idą dalej. Nad *Konings Haven* — basenem ze stopionem szkliwem — falują liljowe opary. Ogromne barki rozprężają czarne ramiona i szeleszczą w mrok — ciche zaczarowane ptaki. Przeszumiął zaferowany parostateczek do *Amsterdamu*. Wypienił się, wybulgotał, wydymił, — znikł. O mury molo ociera się mrużące morze, czarny czarci odwar z ryb i wodorostów. Ta cisza jest większą od maligny *Svedenborga*, od łez „*Traumerei*“; jest większą ponad wszystko.

— A więc, tak! To mój ostatni wieczór w moim mieście, — mówi *Lotar Egon Raffeld*. Tak! Jutro — jazda. Rozumiesz, przyjacielu — wjo! Jawa, *Batavia* — wjo! A jednak: jestem samotny i kocham *Elizę*. Uważasz *Daj dłoń*. Jestem marynarzem *Jej Cesarskiej Mości* i kocham *Elizę*, a ona mnie. Pocałujmy się, jestem szczęśliwy!

— Przedewszystkiem, ścierwo, jesteś pijany — ponuro mówi przyjaciel.

— Nie. Ale ty nie rozumiesz, co to moja miłość. O!

Tak gawędzą sobie, pogadują przyjaciele. Bardzo wzniosłe i serjo. Od wielkiego zniechęconego morza, które nagle wypapla swe „*ulalum*“ i znów zamilknie, — idzie odór — cierpki, sprężysty, duszny jak zmora. Ciemno. Cicho. Ognie śpiących parowców. *Albatrosy*. *Dal*. Co kwadrans — basowe dzwony z *Groote Kerk*. Nad *Konings Haven* przelatują sny.

Ze *Lotar Egon Raffeld* kocha *Elizę* (i to

poważnie) — nie ulegało wątpliwości żadnej. *Eliza* — z którą tak dobrze, tak swojo. Zawsze jak „*Leygraaf*“, wraca z *Liverpool* — *Raffeld* w tramwaj i do *Leyden*. A ona już czeka, już się cieszy, taka słodka, taka pocziwa.

Teraz „*Leygraaf*“ staje na linję *Rotterdam* — *Batavia*. I nieskończenie smutno *Raffeldowi*: aż trzy miesiące nie będzie *Lizy*. A i radośnie, bo oto łopocą niemożliwe morza, oto faluje zdumiewająca dal — w palmy, w słońce, sen o których tamował oddech od dzieciństwa. W nadzwyczajną dal, w której więcej, niż fantastyczny *Krzyż Południa*. Gdzie najśłodsze piekielne owoce, mangustany naprzykład. Gdzie *liljowieje* lazur wody i płynny lazur nieba. Gdzie bronz i heban ciał. Gdzie tak dziwnie, nieznajomo, nowo. Boże! — to się śniło przez dwadzieścia cztery lata a teraz — jest!

Z drzwi „*Unter Magellan und Laperuzo*“ wyrzucono do śmietnika ulicy ostatniego klienta. *Mädchen*, podająca klientom piwo, układa się do snu. W domu *frau Karoliny Knothe* śpią. *Bronzowe zegary Groote Kerk* przeciągłe i gęsto wydzwanają godzinę drugą po północy. Przyjaciel *Lotara Egona Raffelda* krzykliwie choruje na skutki nadmiernego spożycia alkoholu. Żona przyjaciela jest wściekła, ale wystraszona. Czarne barki — szaroskrzydłe nietoperze — przez nieruchome mgły szeleszczą w mrok. Zmiłowanie niech będzie nad synami *Vasco-de-Gama*, odpływającymi w noc.

II.

Pożegnanie z *Elizą*:

(*Eliza* ma wielkie jasno-błękitne oczy, w których żyje wieczyste zdumienie).

— Więc *fräulein Eliza* będzie pamiętać o mnie?..

— Ja? Będę, *herr Lotar*.

— Zawsze?

— Ja? Zawsze.

— Ja też. W tych bardzo ładnych krajach zawsze będę myślał o *fräulein Elizie*. Tam są takie wysokie zielone palmy. Gdy spojrzę na palmy — powiem: ja kocham *fräulein Elizę*.

— O! *Palmy!* (Błękitne oczy otwierają się szeroko).

— Są tam jeszcze śliczne owoce. Nazywają się *banany* i pachną. Gdy zjem takie *banany* — powiem: kocham *Elizę*.

— O! *Banany!* Są słodkie? (Oczy są nieruchome, jak morze).

— Bardzo. A potem: tam jest moc ptaków, strasznie kolorowych. Latają wciąż i śpiewają. *Ogony* mają czerwone, jak ogień. To są *bazanty*. I tak samo powiem: kocham *fräulein Elizę*.

— O! *Bazanty!* Muszą być piękne. (Oczy patrzą w dal).

— O, tak: I będzie fräulein Eliza tęsknić za mną?

— Ja? Będę, herr Lotar.

— Herr Lotar, — (głos łamie się, błękitne oczy patrzą w dal), — herr Lotar. Chcę powiedzieć coś. Oto list List do herr Lotara.

Tylko proszę przeczytać go aż tam, w Botawji. Dobrze?

— Dlaczego aż tam, fräulein Eliza?

— Dlatego, że niech będzie niespodzianka. Przecież przyjemnie będzie herr Lotarowi naraz mieć list ode mnie. Tam gdzie palmy.

— Ale, fräulein Eliza...

— Jeżeli herr Lotar kocha mnie, zrobi, jak proszę. I proszę dać słowo.

— Daję słowo, fräulein Eliza. Przeczytam aż tam.

— Bardzo dziękuję, herr Lotar.

A teraz Lotar Egon Raffeld musi wracać na pokład. Dwadzieścia minut tramwajem i — Rotterdam, — port, — zapach pary. — hałas, — brzeg odsuwa się z wolna, — utonie w pianie horyzontu wieżą Groote Kerk, — i zaczną się zielone, nieokiełznane, długie morza — ku palmom, bananom, bażantom. Niewymownie smutno i rzewnie jest Lotarowi. Duszą marynarskim, zbłąkanym w bezdrożach transatlantycznych linii — tułaczom po gościńcach świata — dzieciom wielkiej konfraterni pielgrzymów do Raju — jest zawsze smutno. Zwłaszcza, gdy gdzieś — w jakimś porcie, przystanku przy nieustannych drogach błędzeń — opuszcza się narzeczoną.



Patrol ratunkowy na plażach podzwrotnikowych. Załoga tych łodzi jest niezwykle odważna i sprawną w działaniu.

III.

I nieustannie, rytmicznie, w pół-śnie dyszą turbiny: — cok—sok, cok—sok, cok—sok. Horyzont unosi się do góry i opada, opada i unosi się. Syczą i warczą rozbryzgiwane fale; słońca przebiegają niebo i nastają noce. Noc odszumi — wypływa nowy dzień. Gdy upał złotym kurzem osypuje się z nieba, — pod podwójnymi tentami na słomianych chais-longach leżą panowie i panie, ubrane na

biało i spoceni. Pijąc — ioe-cream i whisky i palą wonne, o miodnym niepokojącym zapachu opjum „Navy Cut Caporal“. I w wszystko dokoła ostro pachnie nagrzaną farbą, parą, wędzącami owocami i „Navy Cut Caporal“. Ladies rozmawiają pięknymi głosami, pi-

ją lemonjady i patrzą na odurzające horyzonty. Gantlemens czytają „Times“, „Temps“ i „Zeitung“, rozmawiają basem o polityce i piją whisky.

Nadbiegają cyklony. Na pokładach wtedy panika. Cyklony wrzeszczące, spienione, wściekle. Wyją, warczą i rżą tabuny mamutów — rozpetane, dzikie i groźne. Panowie i panie konają z przerażenia i innych nieprzyjemnych przyczyn.

Nocami — w ogromie odpoczynku — dostojnie oddycha dal Kolorowe gwiazdy pluskają nie w niebie — złote ryby w bazaltowych basenach; słodkie nabrzmięte czerwienią owoce na puszystych gałęziach obłoków. Pokład — upstrzony płamami zielonych reflektorów. Oddychają śmieiej, rozmawiają głośnie i snują się wszędzie, ubrani na biało. Pachnie parą, miodem i „Navy Cut“. Turbiny drżą w głębokich czeluściach: — cok—sok, cok—sok. Z otwartych iluminatorów „cabin-company“ rozlega się brzęk talerzy i rapsodje Liszta wdzwanianą się w pluskającą, rozkołysaną najdziwniejszą światłością dal.

IV.

Słońce kołuje nisko nad zachodem. Jeszcze kilka godzin — utonie w ruchliwej rtęci oceanu. „Leygraaf“ sunie powoli i ostrożnie. Po obu stronach burt — wysokie ametystowe brzegi. Coraz bliżej: — doki, molo, domy. Na pokładzie — stopy walizek, panowie i panie wystrojeni, weseli, niecierpliwi. Gwarno i pachnie perfumami, parą, miodem „Navy Cut“. Grzmiałańcuchy kotwic.

Port Batawji — Priok. Już tu — obok — zielona, gorąca, wonna Jawa.

W zatoce — łodzie bez liku, bystre yachty, nieruchome cielska parowców wielkich i małych, przejmujące syreny i łoskot ziemi. Lotar Egon Raffeld czeka na rozkaz rozluźnienia łańcuchów i bez słów śpiewa piękną wesołą piosenkę:—„Ohej! Dobry wieczór, Jawo!”

Donośny przeciągły gwizd, dzwonki, milkną turbiny; głos: —

— Anco-or ma ajna! Z trzaskiem wpadają kotwice w zielone głębie. Koniec. „Ohej! Dobry wieczór, Jawo!”

Zgrzyty, ścisk, tupotanie setek nóg, tłok, pożegnania, wrzaski, ruch, walizki, białe hełmy, krzyki w przeróżnych językach, brązowe i czarne ciała, nawoływania, dzwonki, złote galony urzędników, śmiech, kwiaty, paszporty, powitania, owoce, gorąco! Przypruszone lekkim pyłem niebo, dokoła strzeliste chwiejne palmy, dymy i kurzawa dymiącego portu. Jawa!

Lotar Egon Raffeld idzie brzegiem zatoki — dalej. Skrzypi złocisty żwir pod nogami. Naprawo — tuż zaraz — gęstwina palmowego gaju; nalewo — tuż u nóg — fala mruczy swe niezmiennie „ulalum — ulalum” i różowieją opryskane pianą muszle. Wielkie, małe i zupełnie malutkie ptaki ociężałe i lekko fruują dokoła „To pewnie bażanty”, — myśli Lotar. Żółte uśmiechnięte owoce czepiają się koron drzew. „A to banany” — myśli Lotar.

Wydobywa z kieszeni list. „Kocham Elize” — mówi tak głośno, że płoszy napuszone lory. Całuje kopertę. Szeleści papier: Czyta: —

„Szanowny Herr Lotar! Myślę, że przyjemniej panu, jak pan dowie się o tem na Jawie, bo pan mnie pewno już trochę zapomni i nie będzie pana to bolało. Otóż — zaręczyłam się z panem Karolem Knothe w Rotterdamie, a kiedy pan od-

czyta ten list — już będę jego żoną. Muszę tak zrobić, bo on jest bardzo miły i szlachetny, obiecuje utrzymać moją matkę, która jest staruszką. Niech pana to nie boli, mój dobry Herr Lotar, gdyż tak jest lepiej dla mnie, a pan mi złego nie...”

Szeleszczą palmy. Przerażliwie pachną niesłychanie kolorowe ostre kwiaty — jak zapach pięćdziesięciu dni ciężkiej niepotrzebnej tęsknoty. Morze — czułe i drapieżne — marmroce ulubione „ulalum — ulalum” i przesuwa różowe konchy muszel na żółtym piasku.

Lotar Egon Raffeld — dwudziestoczteroletni marynarz z parowca „Leygraaf” leży twarzą ku ziemi i dławi się chrapliwym szlochem.

Ognistopióre bażanty pocichu przelatują z gałęzi na gałąź i gawędzą po — malajsku: —
— Czy kolega nie uważa, że ten człowiek wygląda dość zabawnie?

Kolega ma rację. Sądząc z jego głosu — (n płacze.

— Tak, ale takie zachowanie się jest mi niesympatyczne. Świadczy o braku kultury. Czy nie tak?

Naturalnie.

Banany szepczą:

— Już dojrzeliśmy i jest bardzo gorąco, sąsiedzie. Może tak chlupniemy do wody.

— Ale tam w dole jest człowiek. Zje nas janie Bananie.

— Nie, sądzą, że on umarł.

Żółte owoce, nasiąkłe sokiem słońca, z pluską spadają do zielonej słonej wody.

W Rotterdamie — o tej porze — powolne dzwony Grooten Kerk dzwonią w poważnej ciszy północy i wielkie bezszelestne barki — szaroskrzydłe puhacze — tajemniczo odpływają w mglisty duszący mrok. Zmiłowanie niech będzie nad płynącymi w ciemność.

JERZY SOSNKOWSKI:

P R A W D Z I W A Ż O N A

Było tak, że Tym (zdrobniałe od Tymoteusz) zachorował. Trzeba było wtedy widzieć Stefę!

Ba! Matka, i to byłaby gorszą opiekunką od niej.

Stefa, ale tylko ona, o tem wiedziała, tak, jak o tem wiedzieć trzeba, kochała Tyma. Tym, tak, trochę wiedział, trochę czuł. Mało! Zamało! I, gdyby wiedział i znał to uczucie, tak, jak ono na to zasługiwało, kochałby Stefę bardzo, — bardzo! Ale to był typowy mężczyzna. Więcej żył swoją pracą, niż miłością. Więcej wielbił to, co robił, niż Stefę, — to „serce na dłoni”, — to żywe uczucie, ten skarb,

na który, jeśli mężczyzna raz trafi, powinien trzymać rękami i nogami, bo ucieknie!

Tym? Tym był to chłopiec już nie taki bardzo młody, bo miał około trzydziestki. Może nawet więcej.. Może trzydzieści jeden...

Codzień następowała zwykła wymiana zdań:

— Stefa, kochasz?

— Tak!

— Bardzo?

— Tak!

— Jak?

— Więcej, niż siebie

— Mało.

— Więcej, niż można.

- Mało.
- Więcej, niż wszystko.
- Nie chciałabyś, żebyśmy się rozeszli?
- Tym, nie! Ach, nie!
- Aż tak?
- Tak, Tym!

A Tym był trochę egoistą. Nie takim wielkim znowu. Lojalnie dotrzymywał umowy. Powiedział jej kiedyś:

— Nie licz na to, że będę z Tobą zawsze. Wiesz, że wogóle niewiele mogę. Życie masz zapewnione, żebym miał po łokcie urobić swój rozum (Tym był literatem i zarabiał, ciężko, oj, ciężko, piórem na życie!), dotrzymam tego! Ale..

I dotrzymywał. On sam wiedział i Pan Bóg, jak mu czasem ciężko było. Jak czasami umysł miewał wyjąłwiony, z czego sobie sprawy kompletnie nie zdawała Stefa. Zawsze miał dla niej uśmiechniętą twarz. Zawsze. Mimo wszystko. Mimo te, hamsunowskie zmartwienia. Kiedy mógł, starał się sprawić jej jakąś przyjemność. Może to był „sui generis” egoizm, bo i jemu to dostarczało nie-lada „fajdy”, gdy widział słoneczny uśmiech na jej twarzyczce.

Może egoizm... Ale może i nie...

Zanim poznał Stefę, swoją żonę, znał cały szereg kobiet. — Naturalnie. Młody, miły, sympatyczny człowiek.

No, była taka jedna... druga... Ładna. I Ala...

— Tym, żebyś ty wiedział... Jabym wszystko... Jabym...

Tym się śmiał.

— Ale! Przesadzasz! Znam trochę kobiety. Wszystkie jesteście, w gruncie rzeczy, takie same egoistki. Ja też. Ale wy — poprostu — egoistyczny suprematyzm. Wiesz, co to jest mężczyzna? Pójdź na film francuski, — zobacz tego pięknego, ufarbowanego i ufryzowanego amanta, — a potem idź na film amerykański i zobacz twardego, pełnego poświęcenia, ale świadomego swych pragnień — — buba. Pomieszaj to razem, niby w puszcze od cocktail'u! To będzie projekcja mężczyzny!

Może w tem właśnie leżała tajemnica powodzenia, jakie Tym miał u kobiet. Może, — — dość, że je miał. Zresztą, to wszystko jedno, — powodzenie, lichy wie, od czego zależy. Ach, — naprawdę, — lichy wie!

I oto, Tym był, jakby między młotem kowadłem. Kochał Stefę, mowy niema, lu-

bił bardzo Alę. No, i zresztą, łączyło go przecie z nią coś-niecoś, z czasów byłych...

Ala... mowy nie było o tem, żeby chciała z nim zerwać. Godziła się na wszystko, — nawet na żonę. — To był wedle wyobrażeń Tyma, istotny dowód jej szczerzej miłości. Ale cóż! Tym był mężczyzną! A to znaczy tak wiele!... W ich zwłaszcza pojęciu, mężczyzn!

Ba, Stefa wiedziała o Ali. A Ala — — wiedziała no, oczywiście, o Stefie. W iadomo, jak we wszystkich farsach francuskich, tylko, że w tym wypadku — — odwrotnie. Nie, jak to zwykle bywa: mąż, przyjaciel, żona, — ale — — Ala Stefa, Tym.

Tak-to jakoś dziwnie szło. Czasami, Tym miewał chwile wątpliwości. Czasami stawał przed lustrem, bo Tym nie był pozbawiony szlachetnych odruchów, — i tłuł się sam po przystojnych policzkach, i sam sobie wymyślał:

— Ty, łobuzie, ty szelmo! Masz żonę, jak brylant, jak szczerze złoto, jak kryształ! I czego chcesz więcej? Za czem się uganiasz? O co ci chodzi? Ty, stary małpizonie, ty kobotynie, ty imitacja nędzna Casanowy!

Tak, to były momenty szczerości!

Cóż, kiedy za dni parę, gnany tym właśnie dziwnym popędem, który zrozumieją wszyscy mężczyźni, gnał do Ali, jak opętany. Gnał, a potem wracał z głową spuszczoną, z chmurnem spojrzeniem, pełen niewiary i niepewności sam do siebie.

Dawniej, opowiadali mu koledzy, jak to bywa: masz narzeczoną, kochasz ją. — jest miła, dobra, zacna, jedyna. Ale po wieczorze u niej...

Tym kłął. Uważał to wszystko, poprostu, za — świństwo. Starał się (to był wogóle niezły przecie chłopak) jakoś dać sobie z tem radę. Sprawę całą tłumaczył tak i tak. Że to jest bez sensu, że Stefa, to jego matka i siostra i żona i przyjaciółka, — a tamta co? Poprostu. Ala.

I właśnie, do tej — — poprostu Ali — — wracał. Licho wie, jakie go tam zresztą pobudki pchały. Nie był zły, może nie chciał dziewczynie zrobić dramatu, a podejrzewał, że się tem skończy, jeśli zerwie. Napewno zresztą, nie było w nim złych i oblesnych intencji.

Grył się. Masz tobie — — sytuacja! Hm, bywa... że człowiek zapomni o wszystkim dla namiętności. Niebyło o tem mowy. Raczej..

Tym przypomniał sobie taką starą, widzianą gdzieś jeszcze w zamierzchłej, wczes-

snej młodości farsę. Pod tytułem: „mąż z grzeczności”. Czy to nie była sytuacja odwrócona? Czy nie był on sam, — — przyjacielem — „z grzeczności”?

Tyle razy Tym bał się, i podejrzliwym okiem śledził, czy Stefa się czegoś nie domyśla. Toby było dlań klęską. Panowie mężowie! Wy znacie swe uczucia dla żon! To głębokie, trochę na egoizmie oparte, uczucie! Wy wiecie, że — o ile łatwo jest rozstać się z przyjaciółką, o tyle trudniej..

Nie będę się nad tem rozwodził. Myślę, że wszyscy już dobrze wczuliście się w stan psychiczny mego bohatera

A zarazem, Ala.. Nie, to doprawdy, wściec się można!

.....

Czasami, Tym (właśnie wróciwszy od Ali) podejrzliwie patrzył na żonę. Miała zawsze taką spokojną, tak strasznie miło zrównoważoną minę!

— Stef?

— Co, kochanie?

— Kochasz?

— O, tak.

Cała ceremonia i cały katechizm miłosny, przytoczony na początku, powtarzał się dokładnie.

Uspokojony Tym, z westchnieniem ulgi i wdzięczności, brał drobną twarzyczkę w dłonie i całował długo

.....

Zelgałbym, gdybym powiedział, że Ala nie była zazdrosna o Stefę. Tolerowała ją, jako zło konieczne, ale były chwile..

Skakała wówczas „z pazurami do oczu” Tymowi.

— Ach, ty! Przecie, w gruncie rzeczy, ty jesteś podły! I taki miły zarazem! Ja nieszczęśliwa! Jak sobie pomyśle..

Następowały łzy. i rozpacz tak szczerza, że Tym truchlał O, Boże! Nie chciałby przecie mieć na sumieniu tego młodego życia! Czuł się wtedy taki marny, taki rzeczywiście podły i nikczemny, że z chęcią widziałby pod sobą rozstępującą się ziemię. Cóż jednak było robić?

Tak trwało

Szale miłosnej wagi Tyma, szale obu kobiet ciągle były na jednakowym poziomie. Bywały znów momenty, w których Tym pragnął, by żona, czy to dowiedziała się — — może lepiej zaczęła podejrzewać — — żeby postawiła sprawę na ostrzu noża..

Języczek od wagi przechyliłby się wówczas w jakąś stronę.

Nic nie zapowiadało podobnej sytuacji.

.....

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia.

Tradycyjna gwiazdka. Tym przystawał przed wystawami. Co kupić żonie? A co Ali?

Dla żony zdecydował się na świetną bransoletkę. A dla Ali? Nic mu innego nie przychodziło na myśl. Też jakiś klejnot? Tak, jak żonie? Wydawało mu się to trochę.. nietego. Takie jakieś pokrewne przedmioty..

A jednak, gdy kupował bransoletkę dla żony, aż mu się łaza w oku zakręciła, że zaniedbuje Alę. Przecie to, w gruncie rzeczy, taka biedna dziewczyna..

Kiedy szukał prezentu dla niej, ni stąd ni zowąd oburzył się. Mam wszakże żonę, a to chyba pierwsze.. Masz tobie.. robię z Tyma mazgaja. Proszę tak źle o nim nie myśleć. Nie był nim. Tylko że miał nieco serca, to wszystko

.....

Przyszła nareszcie gwiazdka.

I.. wytłomacz tu sobie, człowieku, natu rę ludzką..

Tym tonął w cichem, ciepłym szczęściu. Ba! Przyjemne wnętrze, gdzie na każdym kroku znać kochającą, kobietą rękę.. Cudna, pełna niewypowiedzianych uroków uczta we dwoje. Stefa, — poprostu czarowna w nowej toalecie. Stół, zastawiony, ale jak! Cicho. Miło. Przytulnie. Lśniący, biały obrus. Ten ton tapet, jakie razem niedawno dobierali Kryształ i srebra. Maleńka choinka w kącie — to już wyłącznie dla niego bo Stefa go zawsze uważa trochę za dziecko. Miła, dobra kobieta, ten szczerzy, prawdziwy przyjaciel, — czy rozumiecie to, panowie?

A Tym, Tym jest pochmurny. Właśnie teraz musi myśleć — — o Ali.

Że jest sama — — że też siedzi przy białym stole — och zamiłowanie Ali do tradycji Tym zna!

Ala jest sama. Niema rodziny. Spędza dzień wigilijny samiuteńka, jak kołek. Tym wyrывa się tam myślą i częścią serca. Czuje się niedobrze. Jej, tej — — też przecie, dobrej dziewczynie, jest smutno,

.....

Stefa patrzy nań zpod oka.

— Tym!

— Słucham, miła.

— Co mi dasz na gwiazdkę?

Tym pospiesznie wyciąga pudełko.

Okrzyk radości i zachwytu.

— Tym, jakiś ty dobry!

Tym z powątpiewaniem kiwa głową.

Pocałunki.

A Ala?

.....

Stefa przytula swój pachnący policzek do Tymowego.

— I ja ci prezent wybrałam.

— Zabłysła złota papierośnica, śliczna zgrabna.

Tym całuje drobne paluszki żony.

— Moja droga Stefa. Że też pamiętasz!

W następnym momencie szeroko otwiera oczy.

Stefa mówi, zawstydzona:

— A to.. — rozwija bibułkę. Oczom Tyma ukazują się, rzeczywiście pięknej roboty, srebrna torebka — — damska, — — a to, — kupiłam dla — — — Ali...

Tym najprzód blednie, potem ponsowieje, jak rak. Potem — — bierze machinalnie torebkę z rąk Stefy.

... ani wie, kiedy mu się z ust zrywa:

— Och, Stefa, dziękuję...

I zatyka sobie usta dłonią.

Ale na wargach Stefy drga dobry, choć trochę smutny uśmiech.

— Tym, przecie ja dawno o tem wiem. I wiem, jak jej musi być przykro. Ja jej.. mnie jej żal.. ja ją lubię. I jak sobie pomyślałam, że ona też cię znała, jak ja, że.. Tym, to dobra dziewczyna musi być, skoro cię aż tak kocha. Myślę, że to tak, jakby była moja siostra...

A teraz zastanówmy się, — przy kim ostatecznie pozostał ten słaby mężczyzna, i zarem — ten prawdziwy mężczyzna, — Tym?

RADOSŁAW KRAJEWSKI:

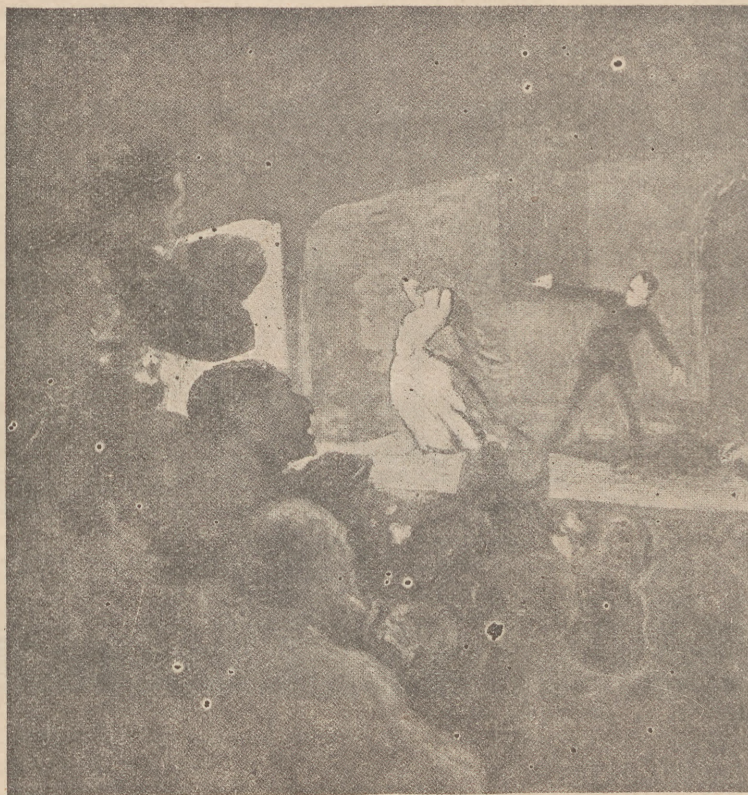
NA RUINACH TEATRÓW NASZYCH

Teatr w Polsce jest obecnie pod znakiem upadku. Nie wolno nam tego przemilczać.

Był kiedyś Kochanowski, Mickiewicz, Krasiński, Fredro, Wyspiański. Były widowiska narodu polskiego, niewolące widzów do współludzi w nich, w ujawnianiu i przewyciężaniu ówczesnej naszej tragedji. Były gmachy przekunsztowne, obszerne, wypełnione po brzegi wrażliwą, jak ocean, miąszszą, nieprzeliczną tłuszcza ludzką.

Dziś rumowiska zostały z tych gmachów wielkich, hu cznych od barw i głośów życia. Tu, gdzie były rzędy siedzisk, rosną drzewa, mchy, i dymnofioletowe szaleje. Gipsatury, stiuki, tynk opada ze ścian i pilastrow.

Błąkam się po ruinach teatrów naszych, patrzę w pustkę komnat dyrektorskich, na szczątki maszyneryi teatralnej i tej sceny, która kiedyś ogniskowała w sobie całą myśl i tragedję Polski.



HONORÉ DAUMIER:

Teatr.

Tu i tam na zmarszałych, zapadających się deskach sceny, jacyś zagraniczni komiwoja-

żery ustawiają własne rekwizyty, dekoracje kukły, tworzą misterja niezrozumiałych dla nas trosk, pożądań, walk i uszcześliwień.

To też ludność nasza nie interesuje się temi opowiadaniem ludzi obcych o ludziach jeszcze bardziej nam obcych.

I zagabnięta odpowie: we widowisko lubią patrzeć, jak zwierciadło, lubie w niem ciągle odnajdywać siebie. Nie interesują mnie sztuki dramaryczne, gdzie śmiech, płacz, radość, miłość, jest tak mało moją własną radością i miłością, moim własnym śmiechem i płaczem.

Zagabywany dramatopisarz nasz odparł: Cóż mnie może obchodzić muzealność lub krzykliwy egzetotym? My, Polacy przeżywamy dziś najstraszliwsze tragedje, dziś właśnie przed nami stoją niezwykle zagadnienia podziału dóbr społecznych, problem wojny, postępu, pracy, problem naszego piękna, naszej więzi

socjalnej. Te i dziesiątki innych naszych problemów domagają się natarczywie scenicznej ekspresji. Dałem im tę ekspresję, ale wespół z K. H. Roztworowskim daremnie kołaczemy do gabinetów dyrektorskich. Psują nam uczynienie tego zagraniczni komiwojażerzy teatralni i jakieś swojskie niezwalczone ciemne moce.

Teatry, włoski i francuski kwitną i są spełnione publicznością, reagującą żywo na to, co się dzieje na scenie.

Więcej! Teatr włoski i francuski dziś chwytają w swe ręce rządy wszystkich scen świata. Hiszpanja pod naporem Paryża już dawno zapomniała o świetności własnego teatru. Oryginalny egzotyczny teatr Japonii upada pod naporem sztuk Francji.

Dobrobytu dramatopisarzy włoskich strzegą urzędowi poborcy, ściągający podatek od widowisk. Francja w zasadzie grywa tylko sztuki swoich dramaturgów, choćby były tylko poprawne.

Czemu tak nie jest u nas?

* * *

Błędzimy od skonu Wyspiańskiego po ruinach naszych teatrów.

Tu w magistracie słychać lamenty ojców miasta, że do „Narodowego“, do „Letniego“ dziś nikt nie chce chodzić, że świecą pustkami.

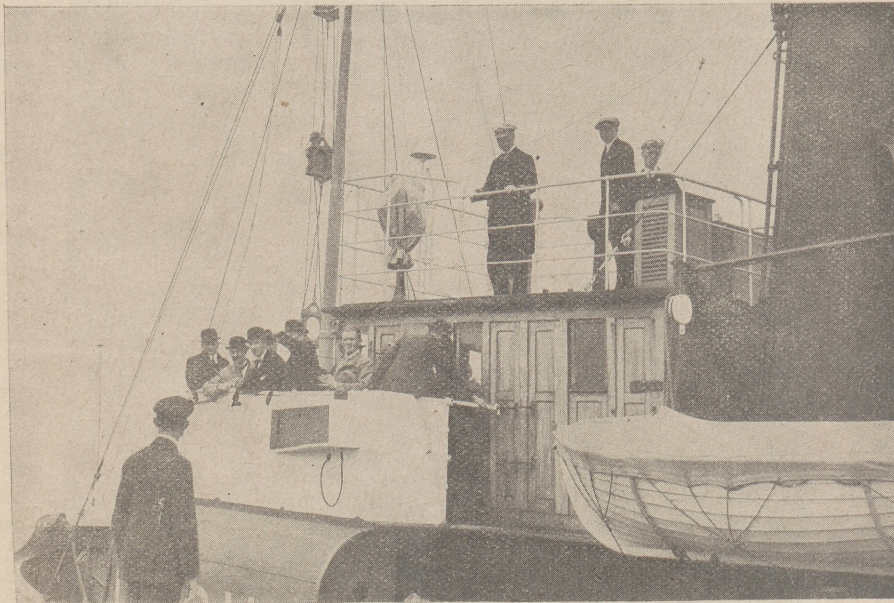
Tam na ulicy widać nieprzeliczone tłumy publiczności, gnanej przez głód baśni, głód teatralności od scenki do półscenki, od estradki do estrady, od kina do kina i niemogącej zaspokoić tego głodu.

To też mimo ciągłego maskowania się co raz wyraziściej ujawnia się ta rzeczywistość, że nad ruinami naszych teatrów zapanowały istotnie jakieś ciemne moce, strzegące, by teatry się nie zaludniały, by nie przebudziło się z letargu dramatopisarstwo nasze.

I mimo ciągłego maskowania się sztukami pseudopolskimi lub grafomanją narodową, coraz dokładniej poznajemy tę rzeczywistość, że jeżeli chcemy, by piśmiennictwo, by teatry nasze stanęły dostojnie i na niewzruszonych podwalinach *winniśmy pisać i wystawiać sztuki oparte na naszej myśli i na naszym sercu*, na naszym światopoglądzie, na naszym pojęciu tragizmu. Dość już greckiego fatalizmu, azjatyckiego nihilizmu, ibsenowskiego realizmu i francuskiej sofistycznej szminki.

Winniśmy zaniechać polityki stosowania chińskiego muru wobec młodych dramatopisarzy i winniśmy raz nareszcie zniszczyć owe niezniszczalne moce, co zamieniły w ruiny nasze teatry akademizmem sztuk muzealnych i repertuarami zagranicznych „wielkości“

Pierwsze kroki Polski na morzu z początkiem r. b. Tonnaz naszych okrętów handlowych nader szybko się zwiększa. Przybyło zakupionych we Francji 5 państwowych okrętów do Gdyni, 2 nadto budowane są na Stoczni Gdańskiej, 1'pszedsiębior-



stwo prywatne „Wisła-Bałtyk“ również podczas zimy bieżącej nabyło 6 holowników i 14 lichtug morskich. Bank Gospodarstwa Krajowego poczyna realizować zakup 2-óch okrętów, które połączą Gdynię z wybrzeżami Morza Śródziemnego.

X. GLINKA:

MARZENIE.

Chciałbym z Panią wyjechać we dwoje,
Wszystko jedno dokąd — byle gdzie —
Opowiedzieć Pani życie swoje
W sleepingowem, zacisznem coupé.

I częstując Panią słodyczami,
Myślę wracać do straconych dni —
I całować — całować oczami
Usta Pani — i oczy — i brwi — —

I doczekać się wreszcie tej chwili
Gdy się ściemni — i marzyć w półśnie —
Że jedziemy, gdzieśmy raz już byli —
Ze jedziemy — wszystko jedno gdzie

I po nocy, spędzonej w pieszczocie,
Tak drażniącej, niby zapach róż —
Rano oczy otworzyć — i w złocie
Ujrzeć słońce południowych mórz.

PO TAMTEJ STRONIE

DOKOŃCZENIE.

I znów minęło dwa miesiące. Krzeziński mu zdawało się, że jakiś raj otworzy przed nim swe wrota, że to nie rzeczywistość go otacza, lecz jakieś cudne marzenie. Nie odstępował prawie od boku ukochanej, a chociaż nic się nie zmieniło, wierzył niezłomie, że wreszcie zbudzi w niej miłość, a wówczas zażywać będzie doskonałego szczęścia.

Pewnego dnia wybrali się jak zwykle oboje na dancing. Były to pierwsze dni lipca, jakoś dziwnie chłodne i deszczowe w tym roku. Na dancingu Krzeziński spotkał kolegę z uniwersyteckich czasów, zajmującego obecnie wybitne stanowisko w dyplomacji. Przywitali się serdecznie, gdyż nie widzieli się od szeregu lat. Acedoti, wysoki brunet bardzo przystojny, wytworny zwrócił uwagę pani Meli.

— Kto jest ten pan, z którym witaliście się tak serdecznie? — spytała Krzezińskiego, gdy znalazł się znów przy niej.

— Dawny mój kolega, obecnie „wielka figura“.

— Niech mi go pan przedstawi, podoba mi się ten chłopiec.

Krzeziński zachnął się; to poprostu potworne wymagać od niego przedstawienia ukochanej człowieka, o którego już w tej chwili jest zazdrosny. Ale chęć pani Meli była dla niego rozkazem. Z rezygnacją dopełnił formy towarzyskiej i już ani na chwilę nie pozbył się strasznej męki, jaką mu sprawiła odczuwa zazdrość.

Gdy we troje opuszczali salę, był już jasny dzień.

— Wiecie co panowie? jedźmy za miasto! — proponowała pani Mela.

Mieli sobie tyle do powiedzenia, ona z nowopoznanym mężczyzną, że na rozmowę z Krzezińskim poprostu nie było czasu. Siedziały więc osowiały, dusząc w sobie zazdrość, gdyż wiedziały, że pani Mela znieść nie może jej objawów. Nadszedł nareszcie koniec męki, panowie, odwoławszy po przejażdżce panią do domu, wracali każdy do siebie.

— Bardzo ciekawa kobieta — przerwał milczenie Acedoti — dawno ją znasz?

Krzeziński nie zaraz odpowiedział; opuścił głowę, zastanawiając się nad czemś, wreszcie jakby powziął pewne postanowienie odrzekł:

— Czy dawno? Nie, właściwie niema jeszcze roku odkąd się znamy, ale mimo to, zdaje mi się, że urodziłem się po to, aby żyć dla niej. Kocham ją, jak szalenię, pożądam jej każdą kroplą krwi, jak jeszcze żadnej w życiu, oświadczyłem się jej i ona zgodziła się wyjść

za mnie wówczas, gdy mnie pokocha; od dwóch miesięcy przeszło pozwala mi zdobywać swą miłość i odtąd jestem tak szczęśliwy, jak nim nie byłem jeszcze w życiu.

Acedoti uśmiechnął się lekcewnie.

— Nie wiedziałem, że taki marzyciel z ciebie! Istotnie wierzysz w to, że taka kobieta ciebie posłubi?

— Jakto? Co to ma znaczyć? Dlaczego?

— Bo to nie jest typ, któryby się wziął na śpiewanie pieśni miłosnych pod oknem, przy dźwiękach mandoliny, na wierną służbę rycerską w barwach ukochanej — nie, ona jest z tych kobiet, które trzeba chwycić brutalnie za gardło i trzymać potem jak niewolnicę, o którą się dba tylko w niektórych momentach. Złą metodę obrałeś, Cuci.

— Co ty możesz wiedzieć o niej.

Rozstali się mniej serdecznie.

Nazajutrz Krzeziński stęskniony zjawił się w mieszkaniu pięknej wdowy. Była dziwnie rozkapryszona, wreszcie wybuchnęła:

— Ten pański znajomy, to jakiś zarozumialec, jakiego świat nie widział. Widocznie nie zasługuję w oczach tej „wielkiej figury“, jak go pan nazwał na to, by mi złożył wizytę; telefonował parę razy, dowiadując się od służącej, czy jestem w domu, a nareszcie, gdy się dowiedział, że niema, zostawił bilet. To poprostu oburzające.

Ale Krzeziński miał inny punkt widzenia na tę sprawę.

— To porządny chłop, proszę pani — wytknął pojednawczo.

Pani Mela jednak snąć zagięła parol na owego zarozumialca, kto wie, może chciała go upokorzyć właśnie, bo na najbliższej czarnej kawie, którą urządziła u siebie co dwa tygodnie, zjawił się Acedoti na skutek gorącego pisemnego zaproszenia wdowy.

Krzeziński spojrział na niego jadowitym wzrokiem, mimo jednak najbystrzejszej obserwacji nie mógł zarzucić koledze żadnej, nawet chęci zbliżenia się do pięknej pani. Za to ona poprostu oczu nie odrywała od niego, prowokując go na każdym kroku.

Jakże chętnie byłby Krzeziński według metody kolegi chwycił ją brutalnie za gardło i bił nawet za mękę, jaką przez nią cierpiał. A przecież musiał się uśmiechać i nie dać niczem poznać, jaka szaleje w nim burza.

Wreszcie goście się rozeszli, a Krzeziński żegnając ostatnią panią Melę, odetchnął z ulgą. Jednakże w stosunku jego z wdową coś się popsulo. Gdy przychodził, jak dawniej, witała go z twarzą zachmurzoną, lub odprawiała wkrótce pod pozorem bólu głowy. Ja

kies podejrzania poczęły się rodzić w umyśle Krzemińskiego mimo, że je zwalczał jeszcze ostatkiem woli.

Pewnego dnia, gdy przyszedł jak zwykle, wdowa nie przyjęła go zupełnie. Zdarzyło się to obecnie po raz pierwszy od czasu jego oświadczyn. Uszom nie chciał wierzyć.

— Mnie pani nie kazała przyjmować, mnie? — powtarzał kilkakrotnie pytanie.

— Nikogo proszę pana — potwierdziła raz jeszcze służąca i nie mogąc inaczej pozbyć się natręta, zamknęła drzwi. Krzemiński zatoczył się, jak pijany; chciał dzwonić, chciał bić pięściami w drzwi, ale opanował się. Narazi się na śmieszność wobec lokatorów, a nic nie wskóra. Zeszedł przeto wolno po schodach i stanął na chodniku, po przeciwnej stronie ulicy. Okna pani Meli były nie oświetlone. Po pewnym jednak czasie ktoś podszedł, zasunął rolety, poczem w mieszkaniu rozbłysło światło, a Krzemińskiemu zdało się, że na tle rolety mignęła sylwetka mężczyzny. Zatrząsł się cały jak szalony, przebiegł ulicę dwoma susami przeskoczył schody. Zadzwoził, a gdy służąca uchyliła drzwi, runął w nie całym impetem, odpychając struchlałą. Wpadł do sypialni, gbyż z tamtąd biło światło, rozejrzał się, nie było nikogo. Lecz łóżko z którego zdjęta była kapa na nowo podnieciło w nim wściekłość. Wbiegł do salonu; tu z rękami podłożonemi pod głowę siedziała wsunięta głęboko w kanapkę pani Mela, a uśmiech jej był uśmiechem istoty rozmazanej. Na widok Krzemienieckiego, zjawiającego się tak niespodziewanie drgnęła i podniosła się, a twarz jej zastygła w zwykłym zagadkowym wyrazie.

— A pan czego sobie tu życzy o tej porze? spytała zimno.

— Ja.. pani nie chciała mnie przyjąć, bo tu był ten łotr, ten dyplomata, ten przeklęty Acedoti. Ja zaraz wiedziałem że coś z tego wyniknie. No i przekonałem się dzisiaj na własne oczy.

— Co to ma znaczyć panie Krzemiński?

— To ma znaczyć, że mnie człowieka uczciwego, który wyciągał dłoń po panią po przez ołtarz, kazała pani odprawić dzisiaj od drzwi, bo wołała gacha, co przyszedł łakomy jedynie na pani wdzięki. Tfu!

— Jak pan śmie! Proszę natychmiast opuścić mój dom i nie pokazywać mi się więcej na oczy, rozumie pan?

— Właśnie że nie rozumiem i nie pójde nigdzie. Mógł on korzystać, mogę i ja.

— Precz!

Pani Mela obejrzała się po pokoju; nie miała pod ręką nawet kija, a takby chętnie przejechała szpicrutą po twarzy temu bezczelnemu cynikowi. Oczy jej padły na wiszący nad kanapką na tle tureckiego szala długi kaukaski sztylet. Ale szybciej, niż jej myśl, posunęła się ku sztyletowi dłoń Krzemińskiego. Zerwać go ze ściany i obnażyć z pochwy było dziełem sekundy. Jak furjat podskoczył ku bezbronnej... Krzyknęła strasznie i umknęła w bok, równocześnie zaś Krzemienieckiemu ręka zwiśla bazwładnie, a strach nieludzki zjeżył włosy: oto na szyi poczuł wyraźnie dotknięcia noża, który przesuwając się począł tam i z powrotem... tam i z powrotem... Skądś zapachniały jabłka... oprzytomniał. W tej chwili najwyraźniej ujrzał przed oczyma kartkę papieru, a na niej słowa:

„Zawisła nad tobą groźba ciężkiego przewinienia, od dziś za rok masz stać się mordercą..”

— Boże! Którego dziś mamy, pani Ameljo, na miłość boską, którego dziś mamy? — wyszeptał zbielełemi wargami.

Pani Mela była zdumiona tem dziwnem i nieoczekiwanem zapytaniem. Nie dowierzała jeszcze jego spokojowi i nie ruszała się z miejsca. Patrzył na nią błagalnie.

Drugiego sierpnia — wyrzekła nareszcie głucho i bardzo powoli.

Krzemiński schwycił się nagle za głowę i wybiegł z mieszkania.



Rysunki ruchów człowieka. Nieco techniki odrobina talentu i kilka kresek wystarczy.

U P I Ó R

III.

W salonie pani Emilji panował przemiły nastrój. Panowie chrząkając poprawiali krawaty, a damy układały twarze w obowiązujące w takich wypadkach półuśmiechy.

Pan Erazm — magistracki buchalter, a jednocześnie znany spirytysta i wodzirej na wszystkich balach — konstatował z przyjemnością — przytupując prawym lakierkiem.

— Elegancja — wytworność — polor — i wodził zamglonemi rzesami za wijącym się trenem uroczej gospodyni.

O, tak! Pani Emilja była w ekstazie kolorów, uśmiechów i powiedzeń. Była szczęśliwa szczęściem ludzi i swoim. Była dumna.

Przedstawiciele władz państwowych i miejskich.

— Jakże do twarzy kochanemu burmistrzowi w tych okularach! — pochwaliła głośno nową i modną — w rogowej oprawie inwestycję głowy miasta.

Działacze społeczni z przełożoną seminarjum na czele.

— Pani doprawdy ma cudowny pomysł z tym uniwersytetem dla dorastających panien w mieście.

Patryjotki, filantropki i sawantki. Wszyscy! Wszyscy! W rzesistem świetle lamp, w toni kwiatów, w zielonym pluszu rozradowanych mebli — w jej salonie! Ach! Była wszędzie. Każdemu coś powiedziała miłego. Rozlegał się jej srebrny głos dzwonił perlisty śmiech. I za jej sprawą wnet się wszczyniała ta bły skotliwa rozmowa o wszystkim i niczem, — jaka, według pana Erazma, jest udziałem tylko wyższych towarzystw. Bo on kochał ten brylantowy szmer dobrze prowadzonych rozmów. Upajał się dźwiękami, których nie trzeba rozumieć. Tonał więc uszami w boskim żywiole dźwięków, a oczami w falistym morzu czarnej sukni pani Emilji — oślepiiony alabastrem jej szyi i rąk.

Marzył i trwał, stojąc pod palmą.

Powab zrodzony z rozkoszy i miłosnego smutku wypiękniał jego twarz, wybielił i tak już biały gors i zniecił jej oczy.

Zbliżała się ku niemu w elastycznej modulacji kształtów. Głęboko westchnął i składał długi — jak roczny bilans, pocałunek — na jej pulchnej, chłonna ręce. Już się z nią witał po przyjeździe, w przedpokoju nawet — ale powtórzył przywitanie dla podkreślenia dobrego tonu i może nawet w innym celu. Nikt się jednak nie dziwił, bo damy uważały pana Erazma za arbitra w tym względzie.

— O jakże jestem szczęśliwy — deklamował ze wzruszeniem, — że pani mnie wreszcie przypomniała.

— Pamiętałam i pamiętam o panu. Na dowód (panie Erazmie, ten uśmiech!!) mam do pana prośbę.

Nie odmówi pan? Prawda?

— Ależ dla pani?! Dla pani gotów jestem na wszystko odparł głosem pełnym oddania i szarmanckim ukłonem.

— Nie uwierzę, że aż tak! Ha — ha — ha — Ale mi łatwiej pana prosić.

— Słucham i spełniam z rozkoszą.

— Otóż proszę pana w imieniu moim i wszystkich, aby pan zagrał „Rotę“.

— Pani — nie tylko „Rotę“ — dla pani będę grał wszystko, cokolwiek umiem.

— Więc, proszę pana — Podała mu ramię, które pochwylił z należą mu wprawą i gracją — Ona niedbale się przechylała i wijąc trenem — jak pokuszeniem — wiodła pana Erazma do fortepianu. Natchniony muzyk i spirytysta siadł — rozejrzał się po zebranych, opuścił powieki, „wzdął policzki jak banie“ i rozpoczął patryjotyczną melodię.

Pani Emilja, oparta o fortepjan, spoważniała na twarzy i poczęła wydobywać z falującej piersi początkowe słowa hymnu. — Pierwsza zorientowała się w sytuacji przełożona seminarjum. Zerwała się z miejsca i dołączyła swój piskliwy sopran. Za jej przykładem poszło całe towarzystwo i wkrótce salon rozbrzmiewał potężną pieśnią. — Zapominali wszyscy o sprawach codziennych, przymykali oczy i kamienieli w uroczystej wzniosłości chwili. Tylko z piersi wyrwały się płomienną lawą tony, skąpane w nurtach entuzjazmu. Bas burmistrza, podobny do grzmotu, podrzucał w górę strzeliste trele przełożonej — która, machając ręką, dyrygowała zaimprovizowanym śpiewem.

Głos pani Emilji szedł środkiem i wibrował wilgotnem wzruszeniem. Po lewym jej policzku toczyła się powoli promienna łza.

Pan Erazm nie widział nic, oddany całkowicie fortepianowi i melodji. Gdy skończył ledwie mógł unieść się na nogach — tak był osłabiony wewnętrznym wysiłkiem. Głowa mu pałała — jak w gorączce. Słaniając się, podszedł do okna i przytknął pulsującą twarz do szyby, aby się ochłodzić.

Nagle odskoczył na środek pokoju — jak oparzony. W jego marzycielskich oczach stanął blady słup przerażenia. Bezwładnie opuszczone ręce znamionowały stan bliski omdlenia.

Wnet go usadzono na kanapie i otoczono wieńcem zaintrygowanych głów. Towarzystwo było zmieszane. Pani Emilja biegła po wodę.

— Co panu? Co się stało? — pytały zaniepokojone głosy.

— Nic — nic — bełkotał — tyłkotam w oknie.

— Co w oknie? — rozpoczął indagować burmistrz, usuwając na bok ciekawych.

— On stoi tam — on —

— Kto on? Co za on? —

— On — nieznany żołnierz — wykrztusił zaledwie pan Erazm, zamykając ponownie oczy

— Jaki nieznany żołnierz?! Co się panu troi? — mitygował burmistrz —

— Jak Boga Kocham! — jęknął już głośno i z determinacją — widziałem w oknie żołnierza. Pewnie ten nieznany — któremu mamy płytę stawiać.

— Niech się pan uspokoi. Pan ma gorączkę —

— Kto ma gorączkę?! Chyba pan — krzyknął zirytowany buchalter, zrywając się na nogi — Proszę mnie nie obrażać. — Ot co — niech pan się raczy przekonać —

Schwycił za surdut burmistrza i ciągnął do okna.

— Proszę — proszę — wykrzykiwał w napływie dziwnej odwagi —

Znumienie gości nie miało granic. — W salonie zapanowała pełna trwożnego oczekiwania cisza. Wszyscy wiedzieli o spirytystycznych zdolnościach pana Erazma i o jego obcowaniu z duchami. Mimowoli ulegano tajemniczej psychozie — wytwarzała się ciężka atmosfera metafizycznych obaw —

Panie cofały się do pieca i tuliły pod opiekunice skrzydła mężczyzn, którzy próbowali nadrabiać minami.

Niektórzy tylko panowie posuwali się za burmistrzem w kierunku okna —

Słychać było lękliwe westchnienia i głośne cykanie zegara, który jeden panował nad sytuacją.

W salonie jakby pociemniało, a w przyległym pokoju słychać było tajemnicze szmery —

Pani Emilja straciła naraz rumieńce i martwymi prawie oczami zawisła na burmistrzu i panu Erazmie.

Burmistrz w pewnej chwili wyrwał się z rąk buchaltera i rezolutnie przebierając krzywymi nogami, podtoczył się do okna. Wspiał się na palcach, nachylił głowę i stuknął aż o szybę rogową oprawą modnych okularów —

Nie upłynęło nawet kilku sekund, gdy głowa odskoczyła wtył — gwałtownie się odwrócił i poskoczył ku skupionej koło pieca gromadzie —

— Ć ś ś ś —

— Co? Co? — pytano szeptem —

— Stoi — —

— Kto? Jak wygląda? —

— Prawda, że żołnierz — tryumfująco wykrzyknął pan Erazm, który oswoił się już z niepokojącym nastrojem — jako doświadczony spirytysta —

— Jak żołnierz — ale chyba nie żołnierz — szeptał burmistrz, spoglądając na okno — przedej oficer —

— Oficer — mówi pan — wmieszał się milczący dotąd pan Żołziński — obecnie komornik, a dawniej obywatel ziemski — Hm — hm — chrząknął —

— Tak! chyba oficer, bo zdaje mi się, że widziałem jakieś gwiazdki na ramionach —

Hm — hm — chrząkał pan Żołziński —

— I twarz taka wynędzniała, zarosnięta — oczy straszne — jak u trupa —

— Bo trup! — zdecydował pan Erazm —

— Och Boże — krzyknęła któraś z dam —

— Proszę się uspokoić — podniesionym głosem wyrzekł pan Żołziński. — Niema się czego bać. Naprawdę mamy tu do czynienia z czemś, co przechodzi nasze rozumienie. Ale tu zaszła jakaś ważna potrzeba. Naprawdę nie zjawiał by się żaden duch. — Bo to nie zabawka — proszę państwa. Zgromadziliśmy się tu, aby omówić projekt ustawienia płyty Nieznanemu Żołnierzowi. Tak — dla ustawienia płyty. Przechodzą — hm — hm — i uczynna pani Emilja wzięła, jak zawsze, inicjatywę w swoje niezawodne ręce, — sądzę więc, że projekt zostanie wkrótce urzeczywistniony. Ale ja — hm — hm — powziąłem już wcześniej pewną wątpliwość co do słuszności postawienia tej całej sprawy. Tak — co do słuszności całej tej sprawy. Poczulem — nie inaczej tylko poczułem, że zapomnieliśmy o zasługach naszych oficerów. — Stawiamy pomniki Nieznanemu Żołnierzowi — a któż ożdzi pamięć nieznanego — może więcej zasłużonego oficera? I właśnie dziś — tu — —

— Przepraszam — bardzo przepraszam pa — przerwał nagle burmistrz — przecież oficer to też żołnierz! —

— Żołnierz? Hm — hm. Tak żołnierz! Wiem o tem — ciągnął niezbity z tropu komornik, podkreślając sarmackiego wąsa. — Wiem, że Napoleon nawet był żołnierzem i tak się sam nazywał. — Ja wiem — i pan o tem wie — i wszyscy tu wiemy. Ale czy tam — hm — hm — ten lud — ta masa rozumie to? Czy przez tę nieświadomość nie dzieje się krzywda tym najwaleczniejszym? Czy przez to nie wytworzy się tam to przekonanie, że tylko żołnierz coś wart — a oficer to nic. Proszę mi pozwolić — niech dokończę. — Właśnie ta zjawia — tu wskazał na okno — czyż nie jest dostatecznym przypomnieniem o sobie i ostrzeżeniem dla nas. Tak — proszę państwa — Oto ja — pełny przecucia odpowiedzialności — stawiam wniosek o postawienie w naszym mieście płyty Nieznanemu Oficerowi. — Hm — hm — skończyłem.

Nie było oponenta. Nikt nawet nie chciał zabierać głosu przeciwnego, wobec dosadnej argumentacji i wobec pewnie ciągle stojącej za oknem zjawy.

— Proszę o głos — odezwał się pan Erazm —

Projekt pana Żołzińskiego został mi wyjęty ztąd — z pod serca. Może w pośpiechu nie dojrzałem dystynkcyj stojącego ducha. Tem nie mniej uważałbym, że trzeba, zasięgnąć bliższych informacji, dotyczących jego życzeń. — Proponuję niezwłocznie urządzić seans spirytystyczny —

— Panowie — próbował powstrzymać te zapędy burmistrz. — Panowie nie traktujmy tej kwestji zbyt na gorąco. Wskazanemby było zasięgnąć instrukcyj od władz centralnych. Może nasze poczynania stanęłyby w sprzeczności z ogólnymi tendencjami — wówczas —

— O nie — panie burmistrzu — wystąpiła teraz pani Emilja — niech się pan nie obawia — możemy z całym spokojem wziąć na swoją odpowiedzialność świętą — tak — świętą sprawę. — I dlatego ani chwili nie zawaham się oddać mego domu panu, panie Erazmie. Czyń pan, co pan uzna za wskazane.

Szlachetny entuzjazm i poświęcenie pani Emilji udzieliło się wszystkim zgromadzonym — Ona sama wyglądała wówczas pięknie — podobna do posągu. Stała z podniesioną głową, z ręką na falującej piersi — jakby wyczekując, ktoby śmiał jeszcze oponować. Tak wymowny giest przekonał nawet i burmistrza.

I tak — w przytomności mary narodziła się wielka zbiorowa idea sprawiedliwości — dusze wyrwały się nad poziom przeciętności i szablono.

— Brawo — krzyczała piskliwym głosem przełożona i klaskała w dłonie —

— Brawo — brawo! — wtórowało podniecone towarzystwo —

— Panie Erazmie — prosimy zaczynać. — „Duchowi“ widocznie uprzykrzyło się stać za oknem. Może uważał, że towarzystwo zdołało się już z nim otrząsać. Z wznoszonych okrzyków wywnioskował — że chwila jest najodpowiedniejsza. Dlatego też w momencie ogólnego zapału zjawił się w salonie, przybierając postać — porucznika Żecia. Boże — wyglądał naprawdę, jak upiór — skołtunione włosy i broda — błędne, zapadnięte policzki —

— Duch — duch — ozwały się trwożne głosy —

Przecież niektórzy z obecnych poznali porucznika, ale umysł kapany przez dłuższy czas w fantastyce nastroju nie chciał nawet różnic realności od cudowności. Są takie chwile, że zachodzi zupełne pomieszanie dwóch światów — i czujemy się nawet wtedy — jak w domu. Nic też dziwnego, że pierwszy burmistrz — jakby salwując poprzednie zachowanie — ryknął na całą salę —

— Niech żyje nieznany oficer!

— Niech żyje — niech żyje — huknęły głosy

— Do góry go! — krzyknął pan Żołziński

Rozochoceni panowie biegli już, by pochwycić na ręce oficera — lecz ten się cokolwiek cofnął i dosyć przyjemnym tenorem zawołał:

— Pozwólcie państwo — niech i ja wzniosę jeden toast —

— Prosimy — prosimy —

— Niech żyje pani Emilja — wielka partrjotka!

— Niech żyje — huczało coraz głośniej. — Porucznik Żeć skoczył na obok stojące krzesło —

— Panowie — krzyknął znowu — postanowiliście ustawić płytę nieznanemu oficerowi. Słusznie! Bardzo słusznie!! Ale są różne stopnie oficerskie. —

— Właśnie — wtrącił pan Erazm —

— Otóż to — ciągnął dalej porucznik Żeć — patrząc badawczo i z jakimś niepokojącym uśmiechem na panią Emilję. — Pomogę państwu. Bo duch przezemnie mówi — ja sam jestem duchem — Otóż proponuję wybrać rangę pułkownika. Aby zaś wynagrodzić trudy i poświęcenie pani Emilji — skłonił się nisko w jej stronę — radzę z całego serca uzczyć płytą pułkownika — zawiesił głos i po dłuższej pauzie prawie wrzasnął — kozackiego —

I znikł jak duch —

Jakby piorun trzasł. Nie — jakby sto piorunów trzasło. Powstała okropna konsternacja. Wydało się wszystkim, że do salonu wtargnęło zapomniane już widmo kozackiego pułkownika. Ludzie rzucili się do ucieczki w przeraźliwym popłochu. Pani Emilja, trzepocąc rękami, padła zemdlna na sofę. Dobrze, że nie na podłogę. Byliby ją stratowali. Omal nie wywalono drzwi. — Trzeba się było przedostać przez pokój jadalny, gdzie pod ciężarem przygotowanego jedzenia, delikatesów od pana Eljasza i napojów uginał się ustawiony w olbrzymią podkowę stół. W dzikim impecie ucieczki obalono go na ziemię. Piekielny trzask, brzęk tłuczonych talerzy, butelek i lamp, wytworzył niewstrzymaną panikę. Tratowano po drodze wszystko. — Panowie wydzierali sobie w przedpokoju palta i kapelusze — panie niemożliwie piszczały. — Rozlegały się przekleństwa i wymyślenia w zbitej masie kadłubów i głów. — Byle prędzej i dalej stąd —

— Elegancja — wytworność — polor — marmotał z sarkazmem pan Erazm, wyrzucony na ulicę bez bekieszki, czapki i kaloszy. — Z zimna wywijął takt obydwoma lakierkami. — Jego biały obnażony gors zlewał się z białością śniegu, w którym lśniły błyski gwiazd, dygocących na granatowym tle nieba. —

W mroźnym powietrzu gdzieś na ulicy huczał donośny bas burmistrza:

— Blamaż. — Jak Boga kocham — blamaż —

No — no. No — no — no — medytował pan Erazm, drepcąc po śniegu — No — no — no — Opuścić ją w takiej chwili? rzucił w otchłań firmamentu i własnej duszy pytanie —

Zawrócił pod ganek. Nadeptał na jakiś miękki przedmiot, nachylił się namacał futro Zziębnięty nie badał, czy to jego, czy cudze — narzucił na siebie i ze zdecydowanym posta-

nowieniem wszedł do wnętrza opuszczonego domu.

— Każdy człowiek jest człowiekiem — rozmyślał filozoficznie — Zostawić ją samą na pastwę ponizienia. Nie — To byłoby podłe —

A może — jako spirytysta obyty z duchami — on jeden tylko nie uląkł się wspomnienia o upiorze niedawnej przeszłości?

Długo pocieszał ledwie żywą kobietę — tłumaczył i perswadował — Aż wreszcie —

WAŻNIEJSZE WIADOMOŚCI Z OSTATNICH DWÓCH TYGODNI.

POLITYKA I GOSPODARCZOŚĆ:

W przemówieniu publicznym min. Zaleski oświadczył stanowczo, że Polska nie zgodzi się pod żadnym warunkiem na zmianę swych granic zachodnich. Przemówienie wywołało wielkie wrożenie w prasie zagranicznej i położyło kres bezsensownym plotkom o odstąpieniu Niemcom Gdańska i Gdyni za Kłajpedę.

Sprawę budowy fortec przez Niemcy nad naszymi granicami rozpatruje komisja rozbrojeniowa Ligi narodów.

Ujawniono istnienie w Trokach nad Wołgą niemiecko-sowieckiej fabryki gazów trujących, która wyprodukowała przeszło milion granatów gazowych.

Wymieniono "dokumenty ratyfikacyjne" odnośnie porozumienia polsko-bułgarskiego w sprawach handlowych i nawigacyjnych.

Stosunki polityczne między Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem stają się coraz bardziej napięte.

Polska, korzystając z przysługujących jej praw, domaga się znajomości języka polskiego u kolejarzy Gdańskich.

Utworzono porozumienie prasowe polsko-czechosłowackie.

Rykw, prezes Sownarkomu, stwierdza, sytuacja zagraniczna Rosji obecnie skutkiem działania Anglii, jest niepomyślna.

Aresztowano 5 posłów białoruskich, usiłujących za pieniądze komunistów rosyjskich i pod ich hasłami i własnymi wywołać rozruchy na Białorusi.

Anglja stale posyła oddziały wojska celem obrony swych wpływów w Chinach.

NAUKA I SZTUKA.

Pod protektorem p. prezydenta Państwa został zorganizowany w Polsce zjazd geografów słowiańskich na koniec maja r. b., zjazd ten będzie miał charakter wędrowny.

Powstało w Warszawie Towarzystwo Badania Zagadnień Międzynarodowych.

W Krakowie zorganizowano komitet sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego na Wawel.

Przybyła delegacja artystów finlandzkich celem zaproszenia polskich artystów plastyków do udziału w wystawie w Helsingforsie.

Wznowiono odkopywanie pozostających dotąd pod popiołem i lawą części Herkulanum.

Między Londynem a Nowym Yorkiem została zaprowadzona komunikacja radjo-telegraficzna.

Pierwsza międzynarodowa wystawa muzyczna odbędzie się r. b. w Genewie.

Przystąpiono w Ameryce do budowy teleskopu o średnicy 7 1/2 metra. Największy dotychczas teleskop w obserwatorium na „Górze Wilsona“ ma 2 1/2 metra średnicy.

RÓŻNE:

Powstał w Warszawie Polski Związek paneuropejski na wzór tego rodzaju związków w innych państwach.

W Rosji sowieckiej uzyskał moc prawną nowy kodeks małżeński, mniej radykalny od obowiązującego tam dotąd prawodawstwa.

Wprowadzono bezpośrednią komunikację kolejową między Polską i Bułgarią.

Wydalono z Polski antykomunistycznego pisarza rosyjskiego Bieszko-Bieszkońskiego.

składając ręce i ofiarnie patrząc w oczy — złożył przy niej swoje serce i ramię.

— Tak — powiedziała z promienną łzą w oku — i przechyliła bezwolną głowę na jego piersi —

— Pan Eljasz miałby piękny widok. Buchalter — sam nie wiedząc o tem — uratował cenny żakiet pani Emilji — i w roztargnieniu ciągle miał go na sobie, a ona tuliła w nim swoją biedną i pałającą szczęściem twarz —

Tragikomedja naszego żywota

Tragikomedja naszego żywota

Nie zawsze zgłębia przepisy Boala:

Niekiedy w jednym akcie się przewala,

Czasem się wlecze, jak jesienna słońca.

O, dzika-ż akcja owego igrzyska!

Zamęt patosu, bólów i groteski!

Jak zmienna scena! Za teatru deski

Służy zarówno trumna, jak kołyska.

Lecz dramat płynie falą posuwistą

Usque ad finem! tak każe Ananke,

A szydzi z blagi jej, kto był artystą

I każdą dolę ściszał, jak kochankę.

Józef Birkenmajer



Briand i Chamberlain (razem): Taką rzecz, jak „interwencja“ w Chinach najzupełniej zgadza się z naszymi intencjami, iednak na razie...



Po wojnie europejskiej idea „współpracy i jedności słowiańskiej” staje się coraz bardziej popularną. Na terenie Czechosłowacji, Bułgarii i Jugosławii powstaje coraz więcej związków, towarzystw, klubów o charakterze słowianofilskim. Artyści coraz częściej po tematy formy sięgają w przeszłość Słowiańszczyzny, z coraz większym zainteresowaniem badanej przez ludzi nauki. Na terenie Polski istnieje również kilkanaście tego rodzaju organizacji: Słowiańskie T-wo Sztuki i Kultury (I-e w okresie powojennym), Towarzystwo Bułgarsko-Polskie, Towarzystwo Jugosławiańsko-Polskie, Czesko-Polskie, klub czechosłowacki, „Beseda” i inne. Najbardziej jednak żywotnymi są organy młodszej nieco generacji, nader żywotną działalność wykazuje Stowarzyszenie Młodych Słowian, przystępujące obecnie do wydawania czasopisma „Świat słowiański”, i nawołujące do stworzenia „Ligi Słowiańskiej”. Stowarzyszenie to działalność swą przejawia i w życiu towarzyskim. Podane tu ilustracje ukazują fragmenty „balu słowiańskiego”, jaki odbył się wraz z ciekawym koncertem pod protektoratem naszego ministra spraw zagranicznych dn. 22 b. m. w resursie obywatelskiej w Warszawie.

DZIAŁ POLSKIEJ KONFEDERACJI PRACOWNIKÓW UMYSŁOWYCH.

ST. SASORSKI:

CZY KRYTYKA ODREBNEGO RUCHU PRACOWNIKÓW UMYSŁOWYCH JEST UZASADNIONA?

Jesteśmy świadkami powstawania w wielu państwach ruchów pracowników umysłowych o charakterze społecznym. Zjawisko to jest krytykowane w Polsce z dwóch punktów widzenia: ze stanowiska dążeń do skupienia i wyrażania wszystkich elementów pracy oraz ze stanowiska programów, których założeniem jest całokształt potrzeb państwowych i narodowych. Jedni widzą w ruchu pracowników umysłowych czynnik, niebezpieczny dla jedności i siły sfer pracowniczych, drudzy uważają ten ruch za niebezpieczny dla poziomu aspiracji społeczeństwa i perspektywy działań. Według zdania tych drugich krytyków jednostki winny się organizować przede wszystkim dla realizacji celów, wynikających z położenia i tendencji rozwojowych Państwa i Narodu a nie dla własnych materialnych potrzeb. Organizowanie się dla obrony własnych interesów, robienie z tych interesów sztandarów i naczelných idei rozluźnia, ich zdaniem, spoiwła wewnętrzne w społeczeństwie, przyczynia się do osłabienia i upadku tych idei, w jakich wyrażają się najistotniejsze potrzeby.

Zachodzi pytanie, czy jedna i druga krytyka jest uzasadniona i następnie, czy ma obiektywne uzasadnienie ruch, dążący do skupienia w jedną całość różnych składników organizacyjnych wśród pracowników umysłowych i do stworzenia z nich ogólnego, odrębnego prądu. Na te pytania nie można odpowiedzieć w jednym, krótkim artykule można odpowiedź tylko naszkicować. Ruch pracowników umysłowych musi jednak na te pytania znaleźć odpowiedź i to taką, któraby wytrzymała ostrze krytyki, próbę życiową i została przyjętą przez społeczeństwo, bez tego nie będzie się mógł utrzymać, ani tembardziej rozwinąć.

Trzeba przede wszystkim zaznaczyć, że przez te trudności przebrnęła już idea organizowania na gruncie społeczno-zawodowym poszczególnych grup pracowników umysłowych nawet tych, którzy spełniają funkcje państwowe. Już obecnie nikt — przynajmniej publicznie — nie kwestionuje racji organizowania się np. nauczycieli, sędziów, urzędników i t. d. Co prawda organizacje elementów pracujących w tych zawodach, muszą mieć specjalny charakter, który różni się pod bardzo wielu względami od związków robotniczych, ale sama zasada nie jest kwestionowana. Przed temi organizacjami jest wiele

jeszcze zagadnień nie rozwiązanych, i zarówno ich kierownicy, jak opinia publiczna musi czuwać nad tem aby to rozwiązanie wypadło pomyślnie — by ewolucja ich nie poszła po linii, nieodpowiadającej funkcjom publicznym, spełnianym przez element organizowany. Praktyka wykazała dotąd, że organizowanie się poszczególnych grup zawodowych nie przeszkadza udziałowi członków tych grup w pracach o charakterze ogólniejszym, a w pewnych wypadkach nawet pomaga. Przez dążenia zawodowe członkowie zrzeszeń stykają się z problemami ogólnopaństwowymi, ogólnogospodarczymi i społecznymi, świadomość ich w tych dziedzinach wzrasta i pogłębia się, a w psychice tkwiące poczucie przestrzegania ogólnego dobra, pogłębiane przez pracę zawodową, nie przestaje operować i działać nawet tam, gdzie chodzi o najbardziej bezpośrednie interesy własne.

Wolno przypuszczać — dotychczasowa praktyka do tego całkowicie upoważnia, — że stworzenie nadbudowy dla poszczególnych organizacji zawodowych pracowników umysłowych tembardziej nie przyczyni się do obniżenia i zacieśnienia aspiracji, a przeciwnie oddziała na wyjście na szersze pole w ogólnospołecznych i gospodarczych sprawach, niż to jest możliwe przy obserwowaniu zjawisk życiowych z punktu widzenia danej grupy zawodowej. Członek danej grupy zobaczy, że np. sprawa wysokości jego płacy wchodzi głęboko w stosunki gospodarcze, że istnieje związek między wysokością i realną wartością tych płac, a kosztami produkcji, stanem pośrednictwa, obciążeniem produkcji na cele państwa, samorządowe i ubezpieczeń społecznych, stanem kredytów, że np. zdolność konsumpcyjna szerszych mas inteligencji ma związek ze stanem naszej produkcji, i z bilansem handlowym, a w następstwie z siłą i odpornością waluty i t. d. Stąd zaczyna wyprowadzać wnioski dalej idące, niż poprzednio, nie poprzestaje na oderwanych postulatach, ale szuka istotnych źródeł, stara się zrozumieć związki przyczynowe między swojemi potrzebami a ogólnemi warunkami, możliwościami i potrzebami innych kół.

Na tem tle rodzić się zaczyna poczucie łączności między temi kółami, których sytuacja jest najbardziej zbliżona, które analogiczne dążenia reprezentują i w sposób podobny

pojmują położenie Państwa, jego potrzeby i możliwości. Rzecz naturalna, że ruch pracowników umysłowych wprowadzi szereg zmian do ustalonych już poglądów na różne zagadnienia socjalne i gospodarcze, ale to jest właśnie jego wartość. Zorganizowane już elementy pracy niewątpliwie wykażą zdolności do ujęcia nowych potrzeb, do skorygowania niektórych swoich przewodnich dążeń. Ta obawa przed możliwościami zmian, poza stroną polityczną sprawy, której nie zamierzamy tu poruszać, jest przyczyną — zdaniem naszym — krytyki ruchu pracowników umysłowych przez różne ośrodki, skupiające pracowników. Nie ma to jednak nic wspólnego z założeniami tego ruchu, który z punktu widzenia dążeń kół pracowniczych powinien być uznany za wyraz rozwoju do wyższych form skupienia, z czym wiąże się szerokość horyzontów myślenia.

W ten sposób dokonywuje się ewolucja dążeń i myśli od jednostki poprzez grupę zawodową, szerszy ruch społeczny do potrzeb ogólnopństwowych. Ale jest również i proces w odwrotnym kierunku — od potrzeb ogólnych do potrzeb indywidualnych. Krytycy idei indywidualistycznych, które w spadku przejęliśmy po XVIII stuleciu, zupełnie słusznie wskazują na niebezpieczeństwa uważania jednostki za punkt wyjścia dążeń i podstawę świadomości społecznej. Tam, gdzie ten kąt widzenia jednostkowy jest zbyt silny, a zbyt słabe poczucie i zrozumienie potrzeb tych wielkich całości społecznych, z którymi jednostka jest związana organicznie państwa i narodu — zdolność rozwojowa społeczeństwa jest słaba, presja czynników zewnętrznych niebezpieczna a nawet groźna. Wyobraźmy sobie np. konsekwencje, jakie groziłyby Państwu

Polskiemu i jego obywatelom, gdyby dominowały w życiu dążenia wynikające z potrzeb indywidualnych, choćby nawet uwzględniały jaknajskrupulatniej położenie gospodarcze państwa, natomiast były pomijane, niedostatecznie rozumiane potrzeby państwa jako — całości często sprzeczne w danej chwili z potrzebami indywidualnymi. Jeżeli np. Niemcy przy swojej sile technicznej i Rosja przy swojej ludności, działając równolegle, łożą kolosalne środki finansowe na cele agresywne — nie możemy sobie pozwolić na odłożenie szeregu ważnych zagadnień obrony na później, aby najpierw załatwić swoje wewnętrzne potrzeby — choćby z punktu widzenia socjalnego najślusniejszego. Poczucie dobra całości musi dominować nad naszym życiem i w granicach, na jakie ta całość sobie może pozwolić, bez szkody dla jej bytu, przyszłości i rozwoju — można myśleć o zrealizowaniu dążeń, wynikających z potrzeb indywidualnych. Ruch pracowników umysłowych nie może pójść wbrew tym postulatom ogólnym — przeciwnie, ze względu na charakter tego elementu, na jego związanie z kulturą narodową i życiem państwa — przyczyni się, z jednej strony do wzmocnienia poczucia łączności z elementarnymi dążeniami pracy, z drugiej zaś do ugruntowania świadomości celów ogólnopństwowych w szerszych kołach, zorganizowanych na gruncie społecznym i zawodowym.

Dlatego wydaje się, że zarzuty z dwóch stron, skierowywane przeciw ruchowi pracowników umysłowych, są nieuzasadnione. Mogą być uzasadnione zarzuty do poszczególnych faktów na tle akcji organizacji pracowników umysłowych, ale założeń samych tego ruchu nie może to dotyczyć.

Z ŻYCIA ORGANIZACYJNEGO POLSKICH INTELLEKTUALISTÓW.



Trzecie walne zgromadzenie delegatów Polskiej Konfederacji Pracowników Umysłowych.

Fot. Zdakowski

PIERWIASTKI SŁABOŚCI W PSYCHOLOGJI INTELIGENCJI.

(Na marginesie komedji Wł Perzyńskiego p. t. „Uśmiech losu“).

Wł. Perzyński z dużym talentem poruszył, w granej ostatnio w Teatrze Narodowym w Warszawie sztuce, interesujący z punktu widzenia społecznego i kulturalnego, problem z zakresu psychologii współczesnej inteligencji, wychowanej i wykształconej na naukach humanistycznych, i wskazał na życiowe konsekwencje, jakie ta psychologia sprowadza. Warto się nad tem zastanowić.

Zadaniem wychowania i wykształcenia musi być z jednej strony rozwinięcie w jednostkach pierwiastków idealistycznych, kultury duchowej, poczucia etycznego, przyswojenie możliwie szerokiego zasobu wiedzy — z drugiej jednak, przygotowanie do współzawodnictwa, walki, rozwinięcie prężności życiowych, zdolności do inicjatywy i orjentowania się w konkretnych zjawiskach. Utrzymanie równowagi między temi dwoma elementami daje najwyższe wartości, stwarza warunki przewagi czynników kulturalnie wyższych nad niższymi, warunki najkorzystniejszego rozwoju społeczeństw. Przechylenie się szali na jedną lub drugą stronę daje wyniki społecznie ujemne, powoduje w obu wypadkach podporządkowanie się potrzeb, wynikających z życia kulturalnego, potrzebom prymitywnym, jedno stek wyżej stojących pod względem poziomu etycznego i wiedzy jednostkom, reprezentującym niższy typ psychiczny. Brutalność, bezwzględność w środkach, łącznie z energią życiową i zmysłem orjentacyjnym typów niższych bierze przewagę nad typami, pozbawionymi pierwiastków życiowych, o wysubtelniejszych pojęciach etycznych i dużej teoretycznej wiedzy. Psyche staje się niewolnicą, narzędziem rozkoszy Blaksa.

Gdy te niezdolne do życia typy nadadzą ton życiu społeczeństwa — grozi mu zagłada, stać się może przy zbiegu okoliczności, niewolnikiem narodu mniej kulturalnego, ale bardziej prężnego, ekspansywnego. Przeciwnie równowaga obu pierwiastków stwarza z narodu kulturalnego większą siłę, która zarówno we współzawodnictwie pokojowym, jak wojennym okazuje swoją przewagę. W czasie wielkiej wojny obserwowaliśmy, jak wyższa kultura Francji, nawet przy słabszym fizycznie materiale ludzkim, dawała jej większą zdolność życiową, niż niższość kulturalna Rosji. Francuz okazał się bardziej nerwowo i psychicznie wytrzymałym i odpornym na niepowodzenia, klęski i ruiny, wobec świadomości swego celu, niż niższy kulturalnie Rosjanin,

do którego duszy zakradała się ciągle wątpliwość, podcinająca jego siły fizyczne.

W Polsce w ostatnich dziesiątkach lat przed wybuchem wojny, pod wpływem niepowodzeń politycznych i eliminowania z życia gospodarczego i społecznego, pod wpływem wychowania humanistycznego — groziło nam poważne niebezpieczeństwo zniszczenia pierwiastków życiowych w inteligencji. Przeciwwagę tego stanowił z jednej strony ruch robotniczy, który zaprzęgał młodzież inteligentną do walki, z drugiej w większym znaczeniu, zdaniem mojem, stopniu prąd ideowy, reprezentowany przez publicystów i działaczy, jak St. Szczepanowski, Z. Balicki, a zwłaszcza R. Dmowski. Wytworzona przez nich walka oderwanemu intelektualizmowi i etyzmowi, ślamazarności życiowej, zwracanie uwagi na konieczność rozwijania pierwiastków zdobywczych, ekspansywnych — wywarła duży dodatni wpływ na społeczeństwo niezależnie od tego, czy pewne koła społeczeństwa były w bezpośrednim kręgu ich oddziaływania, czy stały poza nim, a nawet odnosiły się doń krytycznie i negatywnie. Następnie niewątpliwie dodatnio w kierunku równowagi psychicznej i osłabiania skutków jednostronnego wychowania humanistycznego oddziaływał ruch harcerski wśród młodzieży, ruch strzelecki, a w końcu warunki, stworzone przez wojnę, które zmuszały do szerokiej inicjatywy i zapobiegliwości.

Po uzyskaniu niepodległości, sędzę, równowagę utraciliśmy na niekorzyść pierwiastków reprezentujących wyższą kulturę. W Polsce zaczął dominować zanadto typ przedsiębiorczy, lekceważący sobie skrupuły etyczne, względy społeczne, wiedzę, dalszą perspektywę w działaniu, która wyraża się w ideach i zasadach, naukę i wiedzę. Osłabiło to spoiwła wewnętrzne w społeczeństwie, zaostriżyło antagonizmy na najrozmaitszych podstawach, podważyło wszelkie autorytety, poza tem i za któremi jest zdecydowana siła, da to przewagę elementom niższemu kulturalnie. Blaks wystąpił na widownię życia. Kozłowski z komedji Perzyńskiego poczuł się panem sytuacji i zaprzęgał kosztem oderwanych od życia, sproletaryzowanych jednostek, kosztem ich poczucia godności i etyki — zaspakając swoje potrzeby, będąc zresztą sam narzędziem w ręku podobnych mu istot, umiejących należycie zużytkowywać praktycznie swoje „walory“.

Przeważnie temu budzić się zaczyna reakcja. Pierwiastki tej reakcji dają się stwierdzić w wypadkach politycznych, najbardziej szar-

piących naszymi stosunkami. Tem samym da się wytłómaczyć gorączkowa próba opracowania podstaw naszego myślenia, naszych przewodnich idei w życiu publicznym, niezależnie od tego, skąd one pochodzą. Do tych faktów zaliczyć, zdaniem moim, należy również fakt ujęcia problemu przez W. Perzyńskiego i stosunek do sztuki kół inteligencji. Publiczność przeżywa losy Siewskiego, widzi w nich cząstkę siebie, odczuwa fatalne skutki zniedołężnienia jednostki kulturalnej, ale pozbawionej zdolności borykania się z życiem, cieszy się, że w rezultacie znajduje jakiś punkt oparcia dla siebie, że świta przed nią nadzieja zwycięstwa, walki z brutalnością i brakiem skrupułów.

Zaiste straszna jest sytuacja takiego niezrównoważonego typu! Własnego warsztatu pracy stworzyć sobie nie potrafi, do pracy przy cudzym warsztacie się nie nadaje lub przynajmniej nie budzi zaufania do swoich zdolności wykonawczych, wejść na drogę sprzeczną z poczuciem godności i etyką nie może – cóż więc pozostaje? Nic, niema wyjścia, błąka się biedny wykołajeniec, marnieje, i za „uśmiech losu“ uważa perspektywę utrzymania się przy życiu przez sprzedaż swego sumienia. Autor studjum „o rozwoju pojęć etycznych“, wysubtelniony etycznie i wykształcony ma się stać narzędziem cudzej

bezwzględności w osiągnięciu osobistych celów! Okazuje się jednak wkrótce, że wartości kulturalne są silniejsze, niż względy oportunistyczne, gdy tylko może utrzymać się przy życiu, iskra godności ludzkiej przemienia się w ogień i wybucha. To jest dopiero podstawą do stworzenia nowej, zdrowej sytuacji, w oparciu zresztą o typ wrażliwy na wartości etyczne, a silniejszy życiowo, o życzliwość chwilowego otoczenia, w końcu o miłość, która zawsze daje poczucie własnej wartości. Przed biednym wykołajencom już stają obrazy zapasów i nawet zwycięstwa nad potentatem życiowym. Ale my mu nie wierzymy! Człowiek, wycyty ze zdolności do życia, może czuć swoją chwilową pozycję, ale zwyciężyć „chamstwa“ nie potrafi, tu trzeba głębiej sięgających pierwiastków, wcześniej rozwiniętej siły. Niepowodzenia życiowe a cóż mu zagwarantuje, że ich nie będzie – znowu mogą zepchnąć w dół i wtedy opinia schyli czoło przed prawdziwymi wartościami, ale pójdzie tam, gdzie choćby chwilową – siłę dostrzeże. Takie jest już życie!

Chcąc zmienić ten stan rzeczy, usunąć takie zjawiska, trzeba głęboko sięgnąć w sytologię inteligencji, społeczeństwa, w systemy wychowania, w stosunki publiczne, w świadomość społeczną. Jest to zadanie olbrzymie, które czeka współczesną inteligencję.

K. MORA-BRZEZIŃSKI:

TRZY MIĘDZYNARODOWE KONGRESY.

I

Na jesieni roku 1926 odbyły się trzy międzynarodowe kongresy poświęcone rozstrzygnięciu i wyjaśnieniu zagadnień ochrony pracy umysłowej i artystycznej. Między 27 a 30 września 35 Międzynarodowy Kongres Prawa autorskiego w Warszawie, między 28 września a 2 października I-szy Międzynarodowy Kongres Kinematograficzny w Paryżu i między 17 a 20 października II Międzynarodowy Kongres Federacji Zjednoczeń (Unji) Intelktualnych w Wiedniu.

Znamiennem jest, że wszystkie te kongresy były znakomicie obesłane, tak pod względem ilościowym jak i jakościowym, że były przeważnie bardzo dobrze zorganizowane i następnie, że rządy Państw, w których kongresy się odbywały, starały się nadać im jak najbardziej uroczystą formę. Oznacza to, że bojownicy o ochronę myśli intelektualnej, pracownicy umysłowi, choć w olbrzymiej większości państw świata niemiłosiernie maltretowani pod względem materialnym, pokrzywdzeni pod względem prawodawstwa socjalnego, nie utracili jednak zdolności życiowych, nie utra-

cili świadomości, zarówno w samych sobie jak i w swych społeczeństwach, że są jedyną warstwą, powołaną do tworzenia i kierowania tam, gdzie panuje myśl, postęp i prawo.

Jeśli przejrzymy nazwiska mówców i twórców referatów, znajdziemy najwybitniejszych przedstawicieli nauki, sztuki i literatury, działaczy na polu zorganizowania inteligencji pracującej, przedstawicieli rządów przez szefów departamentów i mężów stanu aż do najwyższych w państwie dostojników.

Zanim przejdziemy do szczegółowego sprawozdania poszczególnych Kongresów, musimy niektóre rzeczy podkreślić.

A więc najlepiej był przygotowany tak pod względem organizacyjnym, jak i poziomu wygłoszonych referatów. Kongres Prawa Autorskiego w Warszawie. Jest to bezwzględnie zasługą Komitetu Organizacyjnego i Wykonawczego, złożonego z samych tylko Polaków, na czele którego stał p. Zenon Przesmycki a głównym wykonawcą był sekretarz generalny Komitetu p. Józef Podolski. Do świetności kongresu przyczyniło

się pełne zrozumienia i dobrej woli stanowisko Rządu polskiego, który stanął najzupełniej na wysokości zadania, nie szczędząc trudu i pieniędzy, przysyłając najbardziej zasłużonych swoich przedstawicieli. Szerokiem echem rozległ się też ten Kongres po Europie, roznosząc sławę polskich zdolności organizacyjnych, naszej uprzejmości, doskonale opracowanego prawa autorskiego i głębokości myśli, w licznych referatach zawartych. Cytujemy to prawie dosłownie z mów różnych delegatów, które wygłosili jako sprawozdawcy z kongresu po powrocie do swych krajów,

Podobnie zorganizowany i nie ustępujący mu pod względem poziomu umysłowego, aczkolwiek dużo mniej liczny był kongres Federacji zjednoczeń (unji) intelektualnych w Wiedniu. Nie ma się czemu dziwić, boć przecie do Federacji należy elita umysłowa Europy, dość tylko wymienić nazwiska czołowych mówców, jak prof. Bodrero z Padwy, Paul Valéry, prof. Borel, de Rohan i inni. O ile dwa pierwsze Kongresy unikały starannie wszelkich podrażnień natury politycznej i jeśli przemyślały propagandę polityczną, to robiły to bardzo dyskretnie, o tyle trzeci Kongres Kinematograficzny w Paryżu nie potrafił tego uniknąć. Było to zresztą zrozumiałe ponieważ organizował go Instytut Współ-

pracy Intelektualnej pod egidą Ligi Narodów i następnie ponieważ Kongres dotykał się wielu punktów bezpośrednio najżywością różnych krajów, ich finansów. Mimo liczne braki organizacyjne i polityczne był manifestacją bardzo doniosłą. Sam już udział olbrzymiej ilości państw (30) i delegatów (450), staranny dobór przedstawicieli rządów i wysiłki rządu francuskiego, aby nadać mu jaknajbardziej uroczysty charakter świadczy o niezmierniej wadze poruszonych przez kongres zagadnień. Tu musimy zaznaczyć, że rząd polski zlekceważył sobie tę doniosłą sprawę, nie wysyłając delegata. Polskę reprezentowali p. p. Stanisław Zagrodziński (przedstawiciel polskich producentów) p. Mańkowski (związek teatrów świetlnych) i dr. Edward Woroniecki (Polska Konfederacja Pracowników Umysłowych).

Nas, z punktu widzenia pracowników umysłowych, interesuje najbardziej to, że kongres wysunął na pierwszy plan zagadnienie współpracy umysłowej, artystycznej i pedagogicznej, że był zapoczątkowaniem olbrzymiej pracy, jaką należy wykonać ze względu na kulturalną i oświatową rolę kinematografu oraz na obronę interesów zawodowych autorów, reżyserów, aktorów i techników kinematograficznych.

C. d. n.

HENRYK RYGIER:

KOMISJA OPINJODAWCZA PRZY PREZESIE KOMITETU EKONOMICZNEGO MINISTRÓW.

Komisja Opiniodawcza przy Prezesie Komitetu Ekonomicznego Ministrów rozpoczęła swą pracę w dn. 7 grudnia u. r. Skład komisji stanowią pp. pos. Bronisław Ziemięcki, b. Minister Pracy (prezes), b. minister Gustaw Simon (wiceprezes), Zenobjusz Duda, sekretarz zarządu głównego Stowarzyszenia Urzędników Państwowych (sekretarz) oraz członkowie: poseł Jan Brzeziński, red. Sławomir Dabulewicz (Centralna Organizacja Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych), b. minister Jan Jankowski Dr. Henryk Kołodziejski, pos. Artur Kroning, pos. Adam Kuryłowicz, pos. Jan Kwapiński, adw. Marcelli Lewy, pos. Antoni Pączek, prof. Henryk Rygier (Polska Konfederacja Pracowników Umysłowych), pos. Ludwik Waszkiewicz, poseł ks. Aleksander Wóycicki, pos. Zygmunt Zaremba i pos. Zygmunt Zuławski.

Zgodnie z regulaminem zadaniem komisji jest: 1) opinjowanie zleconych jej przez przewodniczącego Komitetu Ekonomicznego Ministrów wniosków, przedkładanych Komitetowi Ekonomicznemu Ministrów przez ministrów i 2) występowanie z własnej inicjatywy

z wnioskami dotyczącymi ustawodawstwa gospodarczo-politycznego, jego stosowania oraz urządzeń gospodarczo-administracyjnych.

Dotychczas Komisja Opiniodawcza odbyła trzy plenarne posiedzenia: dn. 7 grudnia r. ub., dn. 11 i 18 stycznia r. b. Na pierwszym posiedzeniu opracowano ogólną deklarację, ogłoszoną w prasie codziennej, oraz nakreślono zakres prac komisji na najbliższy okres. Postanowiono zająć się opracowaniem następujących zagadnień: płace a ceny artykułów pierwszej potrzeby, stosunek państwa do kooperatyw, sprawa nadzoru nad kartelami, ustawa przemysłowa, organizacja przedsiębiorstw państwowych, udział państwa w przedsiębiorstwach mieszanych, kwestja mieszkaniowa, sprawa ochrony lokatorów, sprawy podatkowe, reforma rolna, Naczelna Rada Gospodarcza i izby pracy oraz sprawy celne

Sprawy powyższe rozdane zostały poszczególnym komisjom lub członkom do opracowania.

Drugie posiedzenie poświęcone zostało sprawie cen cukru. Referat wygłosił poseł Zaremba, podając bogaty materiał w sprawie

produkcji cukru w Polsce, kosztów produkcji i konsumpcji. Postanowiono zgłosić do Komitetu Ekonomicznego Ministrów następujące wnioski, które podajemy w streszczeniu: zwiększenie konsumpcji cukru w Polsce możliwe jest tylko przy niepodnoszeniu cen cukru; przeciętne koszty produkcji cukrowni polskich nie upoważniają do podniesienia cen cukru; cena cukru nie może być określana na podstawie kosztów produkcji w najgorzej zorganizowanych cukrowniach; nad cukrownictwem, na wzór państw zachodnich, winna być rozciągnięta kontrola społeczna; troską rządu winna być kontrola nad racjonalną rozbudową sieci cukrowni z uwzględnieniem potrzeb rolnictwa; wobec nieracjonalnego rozplanowania cukrowni w Polsce niezbędne jest częściowo zlikwidowanie, częściowo sfuzjonowanie cukrowni; zredukowanym pracownikiem fizycznym i umysłowym

cukrowni (w związku z poprzednim punktem) winno być udzielone należyte zabezpieczenie w porozumieniu z ich organizacjami zawodowymi.

Na trzecim posiedzeniu rozważano sprawę eksportu zboża za granicę. Uznano, że ostatnio w styczniu wprowadzane cła wywozowe na zboże na razie zabezpieczą kraj przed eksportem, stwierdzono jednak, że cła te zastosowane zostały zbyt późno, co pociągnie za sobą niedobór zboża na rynku wewnętrznym zwłaszcza wobec nieurodzaju kartofli, oraz postanowiono zwrócić się do rządu z wnioskiem, żeby już obecnie przystąpiono do opracowania zasad polityki wywozowej zboża za granicę, aby na przyszłość nie miało miejsca eksport zboża po nadprzewyżkę produkcji nad konsumpcją, oraz aby Polska z eksportu tego czerpała jak największe korzyści, a nie uszczerbek.

DZIAŁALNOŚĆ POLSKIEJ KONFEDERACJI PRACOWNIKÓW UMYSŁOWYCH

w 1926 r.

Drugi Walny Zjazd Delegatów Polskiej Konfederacji Pracowników Umysłowych w dn. 8 listopada 1925 r., wyłonił t. zw. Komisję Jedenastu dla opracowania na następny Walny Zjazd wniosków w sprawach: 1) organizacji Konfederacji, 2) programu działalności i 3) zmian statutu.

Komisja Jedenastu pod przewodnictwem p. Stanisława Sasorskiego pracowała zgórą 7 miesięcy. Rezultatem jej prac są przedstawione na III Walnym Zjeździe w dn. 19 grudnia 1926 r. zasady programu społecznego, gospodarczego, kulturalnego i organizacyjnego Konfederacji.

Olbrzymia ta praca, położyła mocne podwaliny pod budowę ruchu organizacyjnego pracowników umysłowych w Polsce, ujęła całokształt zagadnień, utrwaliła dotychczasowe poczynania i wytknęła zasadnicze linie programu działalności na przyszłość. Z dumą możemy powiedzieć, że ze wszystkich światowych konfederacji my pierwsi zdobyliśmy się na wykonanie tej pracy, za co Rada Międzynarodowej Konfederacji wyraziła nam uznanie na posiedzeniu w dn. 24 października 1926 r., a wydawnictwo Międzynarodowego Biura Pracy przy Lidze Narodów „Informations Sociales” w Nr 3 vol. XX z 18 X 1926 umieściły, bez naszej inicjatywy, komunikat o pracach Komisji Jedenastu.

W lutym i marcu 1926 r. zorganizowano przy udziale Związku Inteligencji Pracującej i Związku Urzędników Kolejowych cykl odczytów z dziedziny społecznej, kulturalnej i gospodarczej. P. prof. Leon Rygier wygłosił odczyt p. t. „Dziecko, jako wychowawca”; p. ławnik Teodor Toeplitz: „Sprawy mieszka-

niowe”; prof. Jan Hellmann: „Nowe prądy w wychowaniu na podstawie Międzynarodowego Kongresu Ligi Szkół Nowych”; inż. dr. Tadeusz Dzieduszycki: „Sprawność Państwa i społeczeństwa na tle zasad naukowego kierownictwa i prądów amerykańskich”; radca Hipolit Wohl: „Samorząd gospodarczy” i dr. Zygmunt Nagórski: „Sprawozdanie z VI Kongresu Międzynarodowej Konfederacji Pracowników Umysłowych w Wiedniu”.

W tym samym czasie uzyskaliśmy jedno miejsce w Zarządzie Głównym Funduszu Bezrobocia — delegatem naszym został prof. Henryk Rygier. Działalność naszego delegata i delegata Centralnej Organizacji Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych p. Sławomira Dabulewicza dały bardzo pomyślne rezultaty, gdyż dzięki ich wysiłkom sprawa zabezpieczenia pracowników umysłowych została potraktowana poważnie, utworzono specjalną komisję do spraw pracowników umysłowych w Zarządzie Głównym Funduszu Bezrobocia, rozszerzono zakres działalności akcji ustawowej i akcji doraźnej.

Z pracami naszego delegata współdziałała Komisja Gospodarcza w osobach pp.: Kazimierza Mora-Brzezińskiego, Czesława Madey'a, Stanisława Ołtarzewskiego, Henryka Rygiera i Henryka Suniewskiego, opracowując projekty uruchomienia warsztatów pracy dla bezrobotnych pracowników umysłowych. Między innymi szczegółowo został opracowany plan zorganizowania w całej Polsce kolportażu książek, co pozwoliłoby zatrudnić około 1 00 bezrobotnych. Plan ten, podpisany łącznie z nami przez przedstawicieli Centralnej Org. Zw. Zawod. Prac. Umysł., został prze-

dłożony Zarządowi Głównemu Funduszu Bezrobocia, który jednogłośnie uchwalił poparcie dla tej sprawy. Dzięki temu, a także dzięki życzliwemu stanowisku dyrektora departamentu Ministerstwa Racy p. Szubartowicza i przychylniej decyzji p. Ministra Pracy sprawa posunęła się tak dalece naprzód, że według wszelkiego prawdopodobieństwa w najbliższym czasie zostanie uzyskane na ten cel subsydjum rządowe w wysokości około 150.000 zł.

Komisja Gospodarcza zajęła się również przygotowaniem akcji, w celu rozpowszechnienia i scentralizowania ruchu współdzielczo-

kredytowego pracowników umysłowych, opracowuje projekt akcji budowlanej oraz przygotowuje program uruchomienia warsztatów pracy dla bezrobotnych pracowników umysłowych, czego pierwszym rezultatem jest realizacja kolportażu książek.

Na początku marca 1926 r. Konfederacja rzuciła projekt zorganizowania „Tygodnia Książki Polskiej”, w tym celu pp. H. Rygier i Mora-Brzeziński odbyli szereg konferencji z przedstawicielami literatury, przemysłu wydawniczego, drukarskiego i księgarskiego.

Dalszy ciąg nast.

Radjo „Irja”

Krajowa wytwórnia aparatów radjo i części składowych

Pięciolampowe aparat „NEUTRODYN”

stałe na składzie, wykonane całkowicie w naszych warsztatach mają zasięg wszystkich stacji europejskich na głośnik, podczas audycji warszawskiej stacji nadawczej. Koszt aparatu tylko 550 zł. ze względu na konkurencję z firmami zagranicznymi.

Specjalność budowa Neutro-i Ultraformerów

Warszawa, Długa 19, Bracia Janiszewscy.

Apteka Homeopatyczna

Towarzystwa Zwolenników

Homeopatji

Warszawa, Nowy-Świat 16, tel. 23-44.

Sprzedaż benzyny, olejów i smarów

„AUTOBEA Z”

WARSZAWA, Długa № 17, (róg Miodowej).

OD REDAKCJI.

Począwszy od następnego numeru „Nowiny” w części poświęconej sprawom pracowników umysłowych, będziemy informowali stale o życiu organizacji pracowników umysłowych, oraz tych instytucji, które prowadzą badania akcji w zakresie zagadnień społecznych, gospodarczych i kulturalnych związanych z programem działalności organizacji pracowników umysłowych.

Zwracamy się do stowarzyszeń należących do Polskiej Konfederacji Pracowników Umysłowych i do wszystkich innych organizacji pracowników umysłowych do P. K. P. U. nie należących z prośbą o nadsyłanie danych, dotyczących się ich życia, rozwoju i zagadnień w danej chwili najbardziej ich interesujących.

Materiał, zarówno jak i wszystkie pisma związkowe (do zamiany) kierować prosimy pod adresem: Szpitalna 1 m 3, na ręce kierownika działu p. Kazimierza Mora-Brzezińskiego (tel. 295-85).

ZAKŁAD OGRODNICZY

JAN SZMIDT

WARSZAWA, ul. GÓRCZEWSKA 79.

tel. 415-23

Hodowla kwiatów ciętych i doniczkowych.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Warszawa, Marszałkowska 120, tel. Administracji 242-18, Redakcji 116-00. Konto czekowe w P. K. O. Nr. 9990. Poznań Słowackiego 44/46. Kraków, Wygoda 17. Łódź, Emilji 17.

Redaktor przyjmuje we wtorki, czwartki i piątki od 4 - 5 po poł. Administracja czynna od godz. 10—4. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

CENY OGŁOSZEŃ:

1/1 str II lub III okładki Zł. 300
1/1 str IV okładki Zł. 350
za tekstem 1/1 str. Zł. 250
" " 1/2 str. Zł. 125
" " 1/4 str. Zł. 70
w tekście o 50% drożej

WARUNKI PRZEDPŁATY Z DOSTARCZENIEM DODOMU KWARTALNIE 5 zł. 50 gr., PÓŁROCZNIE 10 zł. ROCZNIE 18 zł. * * NIE 18 zł. * *

Wydawnictwo Polskiej Konfederacji Pracowników Umysłowych

KOMITET REDAKCYJNY:

Kazimierz Mora-Brzeziński, Radosław Krajewski, Henryk Rygier, Stanisław Sasorski.

Za wydawnictwo: M. Korwin-Sobolewski.

Redaktor odpowiedzialny: St. Kwiatkowski.